

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

# WIAS



TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI

Łódź, 3 lipca 1949 r.

Nr 27 (206)

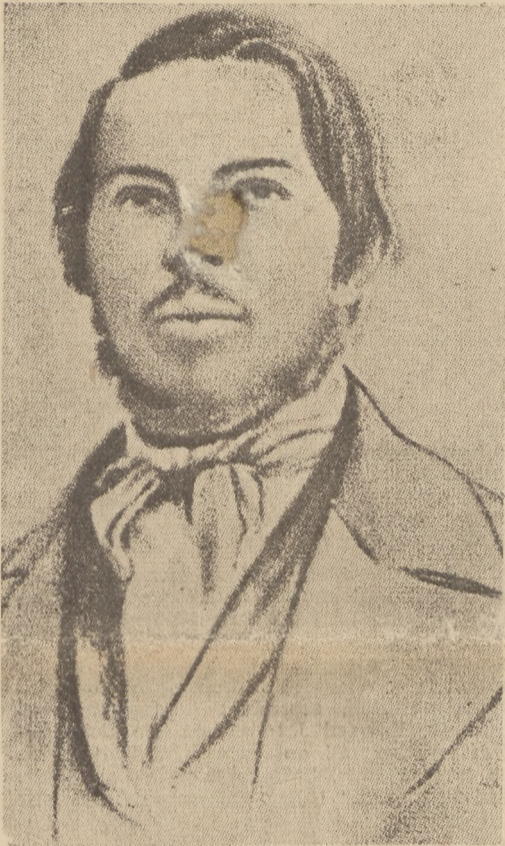
W NUMERZE  
między innymi:

„O położeniu klasy wyrobniczej w Anglii“

- T. Kubiak — wiersz  
 J. Szczepański — O orientację w rozwoju kultury na wsi  
 S. Ignar — Zmiana ustroju w rolnictwie  
 P. Wyrobek — W Roku Mickiewicza  
 W. Leopoldowa — O naukę i prawdę  
 J. Iwanowska — Szkodliwa popularyzacja  
 W. Ozga — Budownictwo szkół wiejskich  
 J. Witowska — Pamiętnik służącej  
 S. Cieślak — U progę pierwszej sześciolatki w rolnictwie  
 W. Jażdżyński — Życiorysy górników  
 J. Pogan — „Krytyka miłująca... wrogów?“

Witold Łukaszewicz

## Pierwsze echa socjalizmu naukowego w prasie polskiej 1846 roku



Portret Engelsa z okresu 1843 r.

Recenzja książki Engelsa, napisana przez Wincentego Mazurkiewicza tuż po upadku ostatniej reduty ruchu 1846 — Krakowa, ma swoją głębszą wymowę, bo pośrednio — przez solidaryzowanie się recenzenta z wywodami autora książki sięga do podstawowego problemu rewolucyjnego — określenia głównej siły napędowej burżuazyjno-demokratycznej rewolucji oraz jej przerastania w rewolucję socjalistyczną. Rzecz zrozumiała, że dla lat czterdziestych XIX w. przy uwzględnieniu ówczesnej struktury agrarnej i przemysłowej w trzech zaborach zagadnienie podstawowej siły napędowej dla ówczesnego polskiego ruchu rewolucyjnego sprowadzało się do „agrarnej demokracji“ — do chłopskiej rewolucyjnej drogi w walce przeciw patriarchalno - feudalnemu absolutyzmowi.

Ta właśnie rewolucyjna chłopska droga była głównym przedmiotem walki ideologicznej na emigracji, a za jej sprawą w kraju, w dobie Przedwiośnia i Wiosny Ludów (1831—1849), tzn. w dobie wzmoczonych ruchów narodowo - wyzwolńczych związanych ściśle z narastaniem kapitalizmu i zachodzącymi w związku z tym zmianami w stosunkach produkcji na wsi i w mieście. Emigracja polska na Zachodzie, ta główna sprawczyni powstania 1830—31 r. — rewolucji, która według Engelsa nie była „rewolucją narodową ani też rewolucją społeczną lub polityczną“, lecz „rewolucją konserwatywną“ wyrosła z egoizmu i ograniczonej politycznej szlachty, emigracja ta podjęła na tułactwie namiętną dyskusję na temat odpowiedzialności historycznej za upadek Polski i ostatniego powstania. Wśród „potępiących swarów“ dokonywał się proces formowania się obozów emigracyjnych i ich programów niepodległościowych. Emigracja, w trzech czwartych swego pochodzenia społecznego szlachcka, w jednej czwartej mieszczańska i chłopska, musiała przede wszystkim ustawić się do podstawowego problemu, którego ostrość uwypukliło „konserwatywne“ powstanie 1830—31 r., do problemu agrarnego i związanych z nim konsekwencji gospodarczych, społecznych i politycznych w wypadku jego powstania i rozwiązania.

Czartoryszczycy — prawica emigracyjna — grupująca emigracyjną szlachtę folwarczną i jej krajowych sojuszników wśród latyfundiów feudalnych w trzech zaborach — wypowiedzieli się za utrzymaniem wielkiej własności rolnej. Problem usamowolnienia, uwłaszczenia i uobywatelenia chłopca odkładali „na lepsze czasy“ wysuwając na plan pierwszy zabiegi dyplomatyczne i licząc na konflikty między monarchiami konstytucyjnymi Zachodu (Francja, Anglia) a Św. Przymierzem, które miały wskrzesić Polskę, Polskę z patriarchalno - feudalnym ustrojem agrarnym, Polskę nieuszczerpionych latyfundiów i w najgorszym razie oczynszowanych chłopów. Ta „dyplomatyczna“ droga do niepodległości Polski omijająca początkowo nawet rewolucję polityczną wyprutą z wszelkiej problematyki społecznej nie groziła chłopską zakierowaną, prawem agrarnym, babuizmem, komunizmem ewangelicznym itd., godzącymi w wielkopański folwark. Wiemy dobrze, dokąd zaprowadziła czartoryszczyków ich „niepodległościowa“ droga w pierwszym dziesięcioleciu emigracji, w każdym razie nie zaprowadziła ich do Polski, ale na peryferie walk dynastycznych: do Portugalii, Hiszpanii, Egiptu; zamiast zbliżyć, oddaliła od kraju emigracyjnych księży, hrabiów, baronów, karmazynów i czepiających się ich polypodupadłych szlacheckich inteligentów - doktrynerów. Adam Czartoryski, opromieniony częstochowską poezją księdza Praniewicza i sofistycznymi wywodami genealogicznymi Woronicza, został „królem de facto“ — Adamem I w Hotelu Lambert na wyspie Św. Ludwika w Paryżu. Trzeba było „dyplomatyczną“ różdżką odrzucić precz, chwycić się innej formułki agitacyjnej w marszu zółwim do Polski: Hotel Lambert wywiesił w latach 1838—39 sztandar insurekcji — powstania, jaśniepańskiego powstania na ziemiach polskich. Monarchistyczna insurekcja z Konstytucją 3 Maja w rękę folwarcznego „rewolucjon-

sty“ - dziedzica! Kraj nie mógł pójść na taką rewolucję, na drugą „konserwatywną rewolucję“ — na przedłużenie patriarchalno-feudalnego absolutyzmu. Kraj znalazł się niepodzielnie pod wpływami emigracyjnego obozu demokratycznego, obozu, który pchał go na tory kapitalistycznego rozwoju i walkę o wyzwolenie narodowe zespała z wewnętrzną przebudową społeczną mającą lepiej odpowiadać zmieniającym się stosunkom produkcji na ziemiach polskich.

Oboz demokratyczny — to przeciwnicy patriarchalno-feudalnego status quo w kraju, to szermierze burżuazyjno - demokratycznej rewolucji, to zapaleni rzecznicy rozszerzania bazy ludowej tej rewolucji. Ale oboz to niejednolity pod względem ideologicznym, co uwarunkowane było jego strukturą klasową. Stanowili ten oboz: 1) leleweliści (stronicy Joachima Lelewela), 2) Towarzystwo Demokratyczne Polskie, 3) Lud Polski z Gromadami „Grudzią“ i „Humań“ na ziemi angielskiej. Społecznie przedstawia się ów oboz na emigracji następująco: średnia i drobna szlachta, sproletaryzowana inteligencja szlachecka i drobnomieszczańska, wreszcie chłop - żołnierz. Leleweliści — to w przeważającej liczbie średnioszlacheccy demokratyczni republikańcy z nieznaczną domieszką szlacheckiej i mieszczańskiej inteligencji radykalnej. Towarzystwo Demokratyczne Polskie — to w ogromnej większości drobnoszlacheccy i drobnomieszczańscy „ludowcy“ oraz kilku zaledwie chłopskich inteligentów. Lud Polski — to w swej masie chłopci pańszczyźniani - żołnierze, którzy przeszli kartę pruska w Grudziądzu i innych twierdzeniach. Kieruje Ludem Polskim garstka drobnoszlacheckich i drobnomieszczańskich inteligentów karbonarów oraz jeden czerwony hrabia — Worcell. Lud Polski i skrajna lewica Towarzystwa Demokratycznego tworzą plebejskie, najbardziej rewolucyjne ugrupowanie w obozie demokratycznym, ugrupowanie stojące na gruncie „agrarnego rewolucji“ — chłopskiej demokracji, zmierzające do likwidacji własności obszarnej i do przekazania jej we wspólne — „gminne“ — władanie masy chłopskiej, wyzwolonej z pęt poddaństwa i pańszczyzny, usamowolnionej i pełnoprawnej politycznie. U podstaw rewolucyjnego programu wewnętrznej przebudowy społecznej, postawionej na pierwszym miejscu w ruchu narodowo-wyzwolczym, Lud Polski kładł zasadę „wspólnej dla wszystkich ziemi i jej owoców“ zapożyczoną od francuskich karbonarów - babuistów. Tak wyglądał utopijny komunizm agrarny Ludu Polskiego.

Jak ustosunkowały się dwa pozostałe odłamy obozu demokratycznego na emigracji do podstawowego problemu walki narodowo-wyzwolczej — do sprawy agrarnej i wiążącego się z nią nierozdzielnie zagadnienia rozszerzenia bazy społecznej przyszłego powstania? Szlachecy demokracji spod znaku Lelewela szli na rewolucję polityczną, w której rolę kierowniczą miała odegrać średnia i drobna szlachta oraz związana z nią klasowym pochodzeniem postępową inteligencja; lud zaś pod przewodem tej rewolucyjnej szlachty byłby przysłowiowym taranem w jej rękę. Po odzyskaniu niepodległości politycznej w granicach przedrozbiorowych Polska stałaby się państwem z nową strukturą rolną opartą na kapitalistycznym gospodarstwie folwarcznym i silnym gospodarstwie chłopskim, wolnym od wszelkich ciężarów popańszczyźnianych. Sam zaś proces przerastania feudalnego gospodarstwa obszarowego w kapitalistyczne odbywałby się bez gwałtownych wstrząsów na drodze odgórnym — parlamentarnym uchwał przedstawicielstwa ogólnonarodowego. Była to droga unikania za wszelką cenę rewolucji agrarnej, droga wytyczona klasowym interesem i zmierzająca do zachowania przodującej pozycji ekonomicznej i politycznej szlachty w społeczeństwie polskim. W lewelistycznym programie wewnętrznej przebudowy społecznej interesy klasy szlacheckiej górowały wyraźnie nad plebejskimi, chociaż były ukryte pod atrakcyjną pseudoludową propagandą broszurową, prasową i słowną.

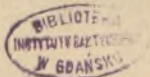
Najbardziej zwarte, karne i konsekwentne

w realizowaniu nakreślonego sobie po kilkuletniej wewnętrzno-organizacyjnej dyskusji ideologicznej programu niepodległościowego było Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Wyszło ono na czoło tego programu i synonimem hasła: „Wszystko dla ludu, wszystko przez lud!“. Wypowiadało się za uwłaszczeniem bezwarunkowym chłopca, użytkownika na ziemi pańskiej, ale pozostawiało na pastwę losu proletariatu wiejski, nie znosiło folwarków szlacheckich, nie likwidowało magnackich latyfundiów, odzęgnywało się od komunizmu agrarnego, wyklinało jego zwolenników i usuwało ze swoich szeregów. Apelowało do dwudziestomilionowej masy chłopskiej, poręczało nadanie jej pełnych praw politycznych. Przyszłą Polskę, demokratyczno-republikańską, z przewagą elementu chłopskiego i drobnomieszczańskiego w życiu politycznym, opierało na drobnych posiadaczach; chciało ograniczyć wyższy człowiek przez człowieka, ale nie kładło tamy kapitalizmowi, przeciwnie, ułatwiała jego rozwój na wsi i w mieście przez utrzymanie kapitalistycznego folwarku i popieranie bez ograniczeń kapitalistycznej produkcji przemysłowej. Idealnym społecznym Towarzystwa był chłop - posiadacz i rzemieślnik uświadomieni politycznie i przywiązani do polskości. Praca natomiast tego ideału społecznego znalazły się rzesze proletariatu na wsi i w miastach, ludzie bez własności — „doby społeczne“. Droga do tak pojętej przebudowy społeczno-gospodarczej przyszłej Polski nie była mimo pomstowania na szlachtę i straszenia jej szubienicą przez Towarzystwo w wypadku, gdyby ośmieliła się ona odrzucić jego program społeczny ruchu narodowo - wyzwolczego, drogą plebejską, drogą agrarną demokracji.

Edward Dembowski 1822 — 1846  
Rysunek ołówkowy Aleksandra Karpńskiego ze wspóln. dagerotypu

Za osłoną pozornie antyszlachecką zaryso- wywała się wyraźnie linia kompromisu z klasą historycznie uprzywilejowaną, linia ugody ze szlachtą, pojawiała się zmore solidaryzmu stanów w miejsce walki klasowej. Tylko skrajna lewica Towarzystwa Demokratycznego i to nie zespolowo, lecz indywidualnie, wypowiadała się za plebejską, rewolucyjną drogą w rozwiązaniu problemu agrarnego: za nacjonalizacją ziemi, za Polską chłopskiej demokracji.

Z takim programami społeczno-politycznymi prezentowały się krajowi obozy emigracyjne: czartoryszczyzna monarchistyczno-konstytucyjno-jaśniepańska oraz trzy odłamy obozu demokratycznego: leleweliści, Towarzystwo Demokratyczne i Lud Polski, przenosząc na ziemię polskie swoje spory ideo-



D m i T a j o s z

logiczne i antagonizmy organizacyjne. Kraj w latach 1832—1846 znalazł się pod najcięższym obstrzałem emisarki emigracyjnej, ulegał jej propagandzie, wiązały się oczka siatki spiskowej. Grunt do spiskowania nie dla wszystkich obozów był jednakowo przystępny. Jego podatność uwarunkowana była przede wszystkim charakterem programu społecznego i bazą klasową, na której przeniesiona z emigracji konspiracja zamierzała się rozwijać. W każdym zaborze ta baza klasowa była swoista, co wynikało ze specyficznego układu stosunków socjalno-ekonomicznych na wsi i w mieście. Najbardziej nomyślnie warunki dla konspiracji powstańczej istniały w zaborze pruskim, najcięższe w rosyjskim.

#### KONSPIRACJA KRAJOWA W LATACH 1832 — 1846

Jako pierwsi wyruszyli na podbój ideologiczny kraju i omotali go siatką konspiracji na lat siedem (1832—1839) leleweliści, zwaną Rzecząpospolitą Krakowską i Galicję za główne bazy ogólnopolskiego powstania przeciw trzem zaborcom: Rosji, Austrii i Prusom. Płk. Józef Zaliwski wypaczył plan powstania Lelewela i jego rewolucyjnego sztabu — „Zemsty Ludu”, nadając roboczo spiskowej charakter wyłącznie antyrosyjski. Wzbrama Zaliwskiego do Królestwa Polskiego w marcu 1833 r. zakończyła się żałosnie, rezultat był żaden, ofiary ciężkie. Jedyne pozytywne dla przyszłości ruchu rewolucyjnego w kraju wynikiem akcji Zaliwskiego było rozszerzenie się w Galicji i Krakowie za sprawą partyzantów emigracyjnych karbonaryzm czyli węglarstwa, w którym brzmiała silnie nuta babuwistyczna — utopijnego komunizmu agrarnego. Przeraził on galicyjskich szlacheckich demokratów i odepchnął od partyzantki Zaliwskiego, ba, zraził ich nawet zupełnie nieuczynnie do samego Lelewela, który babuwizm nie miał zamiaru propagować nawet na emigracji. Karbonarzy partyzanci (Michał Chodźko, Borkowski, Bobiński) pogrzebali swym radykalizmem społecznym pierwszy wypad do kraju Lelewela, ale nie zrazili go tym bynajmniej do dalszego rewolucyjnego działania. Baza społeczna tego działania miała pozostać niezmienną: średnia i drobna szlachta, wyszła z jej szeregów postępowa inteligencja, a przede wszystkim gmin szlachecki w administracji folwarcznej. W latach 1835—6 emisariusze Lelewela założyli zręby pierwszej ogólnopolskiej konspiracji demokratyczno-republikańskiej — Stowarzyszenia Ludu Polskiego, którego krajowy ośrodek dyspozycji znajdował się najpierw w Krakowie, potem we Lwowie. Program społeczno-polityczny Stowarzyszenia był umiarkowany, obliczony na zjednanie poparcia wpływowej, zmniejszonej szlachty, kleru i bogatszego mieszczaństwa. Kadry konspiracji o kilku szczeblach w tajemniczo tworzyła przeważnie szlachecka i mieszczańska inteligencja oraz młodzież akademicka. Konspiracja lelewelistyczna, obliczona od razu na długie działanie propagandowe, przygotowane, umocniła się w Warszawie, sięgała przez Konarskiego Szymona na Litwę i Ruś, zapuściła macki w Poznańskie, słowem owładnęła krajem, ale mimo to ulegała rozkładowi, zanim została częściowo wytopiona i zlikwidowana przez carską i austriacką policję. Rozkład Stowarzyszenia zapoczątkowała wewnętrzna dywersja skrajnie radykalnych elementów spiskowych, głoszących zagładę szlachecką i związanych przez Adolfa Zaleskiego z Gromadami Ludu Polskiego w Anglii. Była to tzw. Konfederacja Powszechna Narodu Polskiego, złożona z zapalnej młodzieży szlacheckiej, głównie akademików. Żywość jej była krótką, ale mimo to wpłynęła na radykalizację lelewelistycznej konspiracji. W roku 1839 spadły na Stowarzyszenie Ludu Polskiego ciężkie ciosy: likwidacja siatki spiskowej Konarskiego i warszawskich „Świętokrzyszów” przez carską policję, rozbiście Zboru Głównego (kierownictwa Stowarzyszenia) we Lwowie wskutek aresztowań. Demokracja szlachecka lelewelistycznej proweniencji uległa rozgromieniu w kraju, zanim zdolała podjąć otwarty bój z zaborcami. Od pogromu ocalała Poznańskie.

Na gruzach lelewelistycznej konspiracji krajowej zaczęto budować nową według własnych planów i zasad ideologicznych Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Z polecenia jego kierownictwa przybyli do kraju w roku 1839 dwaj najzdolniejsi emisariusze Centralizacji: Walery Breański do Poznańskiego i Wincenty Mazurkiewicz do Królestwa Polskiego. Mieli oni za zadanie wybadanie terenu i skupienie rozbitych ogniw lelewelistycznych przy Towarzystwie Demokratycznym. Mazurkiewicz, wyszukany do tej emisarki przez najcięższego ideologa Towarzystwa Wiktora Helmana, należał do skrajnie lewej demokratycznej. Wyznawał on agrarny komunizm w interpretacji swych kolegów karbonarów z Ludu Polskiego, z którymi wiązała go rewolucyjna działalność w węglańskim Namiocie Narodowym Polskim. Urodzony w r. 1813 należał do najmłodszego pokolenia powstańców — emigrantów. Na tułactwie dokształcał się pilnie, uczęszczając na uniwersytet w Poitiers, na którym studiował prawo i ekonomię. Po paru latach intensywniejszej nauki skończył prawo i poświęcił się emisarsce. Miał duży talent publicystyczny, który wykorzystał, pozostawiając po upływie długiego żywota sporo rozpraw i artykułów o treści prawnej i ekonomicznej. Interesowały go w latach czterdziestych XIX stulecia sprawy angielskie, zwłaszcza rozwój przemysłu i narastająca w następstwie tego rozwoju problematyka robotnicza; interesowały go także francuskie teorie utopijno-socjalistyczne, a poza tym „Związek Sprawiedliwych” w Paryżu, orga-

nizacja emigrantów niemieckich. Ożeniony z siostrą Ludwika Mierosławskiego, Ksawera, pasował do swego szwagra wiekiem, poglądami, ale ustępował mu temperamentem rewolucyjnym i polemicznym, za to przewyższał wykształceniem i jasnością wyśłowienia. Taki właśnie emisariusz jak Mazurkiewicz był wówczas potrzebny do przeciągnięcia rozbitków lelewelistycznej konspiracji krajowej pod sztandar Towarzystwa Demokratycznego. Dlaczego właśnie taki? Bo rozbitkowie ci rekrutowali się w większości spośród członków i sympatyków frakcji konfederackiej Stowarzyszenia. Najwięcej ich było w ośrodku spiskowym warszawskim, lubelskim i radomskim. Mazurkiewicz połowicznie wykonał polecenie Centralizacji. Szybko pozyskał względy lewicy Stowarzyszenia i frakcji konfederackiej organizując w oparciu o nie Związek Narodu Polskiego, który dość luźnie związał organizacyjnie i ideologicznie z Centralizacją Towarzystwa Demokratycznego. Wśród najbliższych współpracowników Mazurkiewicza znaleźli się Edward Dembowski oraz kilku innych młodych zapalczyków, związanych ze środowiskiem spiskowym warszawskim. Konspirację lubelską oparł Wincenty Mazurkiewicz na młodym adwokacie Aleksandrze Karpińskim, radomską na swoim krewnym, Leonie Mazurkiewiczu, patronie trybunału sandomierskiego, popostającym od dłuższego czasu w kontaktach z emisariuszami emigracyjnymi, zapalonym zwolennikiem rewolucji społecznej — chłopskiej demokracji.

Dembowski, Karpiński, Leon Mazurkiewicz byli rzecznikami natychmiastowej rewolucji, z którą wiązały nieodłącznie sprawę wewnętrzną przebudowy społecznej na zasadach utopijnego komunizmu agrarnego. Siatka spiskowa została zawiązana pod oficjalną firmą Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, ale duch, jaki ją ożywił, daleki był od ortodoksyjnego, odbiegał wyraźnie od założeń ideowych Manifestu z 4 grudnia 1836 r. Pupa Helmana, autora tegoż Manifestu i gwardiana wiary demokratycznej, Wincenty Mazurkiewicz, spłatał swemu mocodawcy — Centralizacji — przykrego figla, posłał w Królestwie Polskim wśród skaptowanych przez siebie członków nowego, demokratycznego spisku babuwizm w specyficznej interpretacji portsmouthskich i jersyjskich eks-karbonarów — gromadzan. Na plony nie trzeba było długo czekać. Dojrzały one szybko pod czułą opieką Dembowskiego, Leona Mazurkiewicza i księdza Ściegiennego, dojrzały w warszawskim kółku entuzjastów i entuzjastek zamkniętym wokół „Przeglądu Naukowego” redagowanego w l. 1842.3 przez Dembowskiego oraz w „Związku Chłopskim” Ściegiennego (1840—1844) w Lubelszczyźnie i Kieleckiem.

Kontakty Ściegiennego z warszawską grupą Dembowskiego są znane i nie wymagają bliższych omówień; znane jest również odziaływanie na szefa „Związku Chłopskiego” poglądów społeczno-politycznych Dembowskiego i idących z emigracji doktryn francuskich utopijno-socjalistycznych.

Wincenty Mazurkiewicz po zmontowaniu konspiracji w Królestwie pod nazwą Związek Narodu Polskiego wyjechał w Poznańskie (1840), by podeprzeć wysiłki organizacyjne emisariusza Walerego Breańskiego, który nie bez trudności mógł postawić pierwszy zrab demokratycznej organizacji poznańskiej, pięćosobowy Komitet z Karolem Libeltem na czele. W rozbudowie konspiracji pod firmą Towarzystwa Demokratycznego przeszkadzała Breańskiemu poważnie „organiczna praca” Karola Marcinkowskiego i jego protektorów spośród folwarcznej szlachty i młodej polskiej burżuazji. Dopatrywali się oni w ruchu demokratycznym tendencje komunistycznych, sami zaś szli głównie na obronę praw Polaków w monarchii pruskiej, łącząc ją z „pracą organiczną” na modłę francuskiej burżuazji pojętą. Pobyt Wincentego Mazurkiewicza w Księstwie spręga się wielomówiąco z pojawieniem się na arenie spiskowej poznańskiej „Związku Plebejuszy” księgarza Walentego Macieja Stefańskiego. Sprawiedliwy rozdział dóbr i zysków, zapewnienie robotnikowi prawa do pracy, zniesienie na czas rewolucji własności obszarnej i sugrowanie wspólnego władania ziemią wysuwał Stefański na czoło swych postulatów społecznych. Egalitaryzm w surowej postaci z mocnymi akcentami ewangelicznymi, kryjący w wielu miejscach wewnętrzne sprzeczności — oto w ogólnych zarysach program Stefańskiego. Baza społeczna „Związku Plebejuszy” — to elementy plebejskie oraz młodzież szkolna skora do rewolucyjnego czynu. Drobni rzemieślnicy i sklepikarze, czeladnicy i terminatorzy, oficjaliści dworscy, służba folwarczna, chałupnicy a zwłaszcza liczna rzesza komorników wyzutek z ziemi wskutek rugów dziedziców i nieobjęta „dobrodziejstwami” ustawy regulacyjnej z roku 1823, a stanowiąca trzon proletariatu wiejskiego. Baza społeczna spisku była więc bardzo szeroka. Toteż „Związek Plebejuszy” odegrał w ruchu rewolucyjnym Wielkiego Księstwa Poznańskiego rolę wybitną, bodajże ważniejszą niż organizacja demokratyczna kierowana z emigracji przez Towarzystwo Demokratyczne i jego poznańską ekspozyturę, w której największy wpływ wywierał Libelt, Guttry i Jędrzej Moraczewski, przedstawiciele burżuazyjno-szlacheckich demokratycznych grup w ruchu, skorych do ugody ze szlachtą obszarncą. Stefański i jego plebejusze dawali zastrzyki rewolucjonizmu Centralizacji Poznańskiej i Wersalskiej i pchnęli obie na drogę rewolucyjnego czynu. To na ich konto trzeba zapisać rok 1846. Zasięg terytorialny organizacji Stefańskiego mimo dywersji uprawianej przez „organicznych” i Centralizację Poznańską, dywersji szlachecko-burżuazyjnej, był duży. Siegał jedną odnogą do Berlina, Torunia, Chełmna i

Gdańska, drugą — do Wrocławia, gdzie współdziałał z niemieckim „Klubem Socjalistycznym”, którego właściwy ośrodek dyspozycji znajdował się w Paryżu, w komunistycznym (na modłę ówczesną) „Związku Sprawiedliwych”. W Berlinie zaufany Stefańskiego, Teofil Magdziński, utrzymywał bliskie kontakty z weteranami „Klubu Doktorów”, w którym działali nie tak dawno (1841-2) Marks i Engels. Tenże Magdziński inspirował na początku 1846 r. treść artykułu zamieszczonego w „Gazecie Wielkiego Księstwa Poznańskiego”, w którym opisano w ciemnych barwach dolę „wyrobników” w Poznańskim, „owych niewinnych ofiar stosunków społecznych, skazanych od kolebki do grobu na niedostatek i cierpienie”. Przyczynę tego stanu ukazywał w „arystokratycznych... co bez najmniejszej pracy mają wszelkie potrzeby i wygody życia mniejszej części narodu... pozyskane pracą, znojem, niedostatkami i nędzą większej”. W konkluzji żądał Magdziński „urządzenia pracy” mogącego zapewnić ją każdemu obywatelowi.

Problematyka robotnicza wchodzi w latach 1843—1846 na łamy prasy polskiej, inspirowanej przez plebejski, zdecydowanie rewolucyjny nurt konspiracji krajowej prowadzonej pod firmą Towarzystwa Demokratycznego. Widać ją dzięki Dembowskemu w warszawskim „Przeglądzie Naukowym” (1843-4), w poznańskim „Tygodniku Literackim”, w redagowanym przez Moraczewskiego do spółki z Libeltem miesięczniku „Rok” (1843—1846). I w tym ostatnim organie prasowym plebejusze mają wpływ, zwłaszcza od jesieni 1843 r., tj. od przybycia do Poznania Dembowskiego i innych entuzjastów po odkryciu (w sierpniu 1843) przez policję carską kilku ogniw Związku Narodu Polskiego w Królestwie.

Dembowski i Stefański, Leon Mazurkiewicz i Ściegienny — to ognia jednego łańcucha, któremu na imię — plebejski nurt w rewolucji burżuazyjnej. Ale łańcuch ten nie zamykał się na ziemiach polskich. Łączył się on dalszymi ogniwami z podziemnym ruchem robotniczym niemieckim, prowadząc przez Szwajcarię do Paryża, a może i do Londynu. Do „Związku Sprawiedliwych”. Dr. Ewerbeck, kierownik „gmin” paryskich „Związku Sprawiedliwych”, był w l. 1843-48 gorącym sympatykiem lewicy Towarzystwa Demokratycznego skupiającej się koło Wincentego Mazurkiewicza i Ludwika Mierosławskiego. Zlikwidują oni w r. 1845 ugodowców szlacheckich w Centralizacji Wersalskiej, przeciwników powstania: Tomasza Malinowskiego i Henryka Jakubowskiego, by pchnąć Towarzystwo Demokratyczne na tory rewolucyjnego czynu w kraju. Mierosławski zasiadł w Centralizacji jako autorytet w sprawach wojskowych, zasiadł po złożeniu Helmana przyrzeczenia, że przysięży swój „komunizm”. Komunizm — to była najpoważniejsza przeszkoda na drodze Mierosławskiego do wodzostwa w kraju.

A Wincenty Mazurkiewicz? On nie przysiężył swego „komunizmu” jak Mierosławski, ale oczyścił go na drodze lektury prac Marksa i Engelsa od utopizmu. Mazurkiewicz czyta artykuły Marksa i Engelsa w „Rocznikach Niemiecko - Francuskich” i „Vorwärts” (1844), organie uchodźców niemieckich, krytykując utopijny komunizm i poruszając problem robotniczy w związku z powstaniem tkaczy śląskich i ciężką dolą proletariatu angielskiego — proletariatu fabrycznego. Nie obce też być musiały dla Mazurkiewicza F. Engelsa „Listy o socjalizmie i komunizmie na kontynencie”, ogłoszone od października 1844 do maja 1845 r. w owenistycznym „The New Moral World”, wychodzącym w Leeds. Ale i Engelsowi nie obcy był plebejski nurt konspiracji poznańskiej, skoro w liście pod datą 10 maja ogłoszonym w „The New Moral World” donosił o odkryciu w Poznaniu przez władze pruskie „komunistycznego stowarzyszenia” młodzieżowego braci Rymarkiewiczów (luty 1845). Rymarkiewiczom udało się wówczas zbiec za granicę. Wiadomo, że byli oni ściśle związani z Walentym Stefańskim i tworzyli ze swoją konspiracją młodzieżową odnogę „Związku Plebejuszy”. Engels, który rozróżniał tak starannie terminy: „socjalista” i „komunista”, zwłaszcza w zastosowaniu do ruchu społecznego w Prusach, wyraźnie klasyfikował spisek młodzieżowy Rymarkiewiczów do grupy komunistycznych.

„Widmo komunizmu” krążyło na kilka lat przed rokiem 1846 w Poznańskim i straszło nie tylko władze pruskie i polskich „organicznych” oraz kler, straszło ono najbardziej szlachecko — burżuazyjne skrzydło Centralizacji Poznańskiej wprawiając je w odrętwienie. Widmo to pojawiło się w r. 1847 podczas procesu berlińskiego Mierosławskiego i towarzyszy. Przepędził je wówczas sztychami słowami „Napoleon” Centralizacji — Mierosławski. Ale nie tu skończyła się droga komunistycznego widma. Zjawilo się ono po załamaniu się ruchu rewolucyjnego 1846 r. w Poznańskim na szpaltach obszarniczo-klerikalnego „Przeglądu Poznańskiego” Kozłanów. Jeden z nich przedstawiając „Stan rzeczy w W. Księstwie Poznańskim” tuż po wydarzeniach rewolucyjnych pisał: „O robotach komunistycznych w Księstwie trudno wyrzec stanowcze zdanie, ile że zarzut tego wszyscy nadużywają. Zda się, że byli komuniści teoretyczni między wykształconymi, a że młodzi niedoświadczeni ludzie, którzy się mienili komunistami, brali w mylnym przekonaniu komunizm tylko za środek do odzyskania ojczyzny... Tu i ówdzie komuniści podburzali komorników do gwałtu w nadziei podziału majątków...” („Przegląd Pozn.” 1848, VI, 188—189). Tak pisał „Przegląd Poznański” w czerwcu 1848 roku w przedświadczeniu, że „widmo komunizmu” zniknie bezpowrotnie. Ale jakże musiał drżeć ze strachu jego redaktor, gdy czytał w lutym numerze „Roku 1846” w artykule pt. „So-

cializm i polityka” wyszłym spod pióra rzecznika plebejskiej drogi rewolucyjnej, następującej konkluzje: po obaleniu feudalizmu „ogłoszona wolność obywatelską, ale w takiej formie, że to było ogłoszeniem rozstrzeżenia egoistycznego. Sądono, że człowiek w ogóle wprowadzony został na szczebel najwyższej godności, a tymczasem został on u spodu, a mieszczanin tylko wzbił się wysoko i na człowieka, równie jak dawniej dygnitarz kościółca lub stanu rycerskiego, z góry spoglądać zaczął. Sądono, że władza przeszła na człowieka z tytułem obywatelskim, a tymczasem ona wyrwała się tylko z ręki szlachty, aby zostać narzędziem do łowienia z drugich korzyści w ręku mieszczaństwa. Upadło znaczenie miecza i genealogii, a wstąpiło na jej miejsce znaczenie maszyny fabrycznej i kapitału w brzącej monecie lub papierze. Na tej drodze nie odzyskał więc człowiek wolności cywilizacyjnej, którą miał od początku jakkolwiek dzika... („Rok 1846”, str. 77). A kilka stron dalej: „polityka może się tylko wspierać na socjalizmie, który właściwie obejmuje jej pierwotne cząstki; polityka jest powierzchownym kształtem drzewa, ale jego soki, organy, listka, tkanki, kory, korzenie i włókna, wewnętrzne właściwości drzewa społecznego są przedmiotem socjalizmu. Jest on więc właściwie tylko wewnętrzną głębszą polityką i codziennie zyskuje więcej obywatelstwa pomiędzy umiejętnościami, a bez wątpienia stanie się wkrótce najgłówniejszą ze wszystkich” (str. 89).

Widać w tych przytoczonych fragmentach zarodek materialistycznego pojmowania procesu dziejowego, ślad niewątpliwej lektury artykułów Marksa i Engelsa. Ciekawe, że długie krytyczne artykuły o stosunkach społeczno-politycznych w Anglii pojawiają się w „Roku” głównie w latach 1845-6 i mają wiele podobnych sformułowań konkluzyjnych do sformułowań Engelsa, zawierających się w jego wypowiedziach na łamach paryskiego „Vorwärts” (1844). A w numerze marcowym „Roku 1846” w artykule pt.: „Nędza i przestępstwa a głównie w Anglii” czytamy: „Najszacowniejsze objaśnienia pod tym względem mamy do zaudziwienia dzieło F. Engelsa „O położeniu klasy wyrobniczej w Anglii”, dzieło, którego nigdy dosyć naczytać się nie można”. Autor (według wszelkiego prawdopodobieństwa Wincenty Mazurkiewicz) dochodzi w swych wywodach do następującego wniosku końcowego: „tylko zniesienie nędzy proletariatu może zapobiec zbrodni, przywrócić panowanie ducha, podnieść ludzi nad stan zwierzęcości, który się bardziej rozpostarł teraz jak kiedykolwiek. Dopokąd indywidualizm panować będzie, dopóki ta wojna wszystkich przeciw wszystkim ma stanowić społeczną podstawę...” (str. 160).

Pisał te słowa Mazurkiewicz w chwili, gdy przy blasku pionących dworów szlacheckich w Galicji konało powstanie 1846 r., gdy na Podgórze legł od kul żołdaków austriackich jego najwierniejszy druh, jeden z głównych przywódców plebejskiej konspiracji na ziemiach polskich, szermierz „demokracji agrarnej”, Edward Dembowski. Po Ściegiennym wyolbrzymił on jeszcze bardziej „widmo komunizmu”, którego tak się bał „Przegląd Poznański” i jego poplecznicy: folwark i plebania.

Rewolucja 1846 roku załamała się, bo kierująca nią szlachecko-burżuazyjna demokracja nie miała za sobą najważniejszego sojusznika, nie miała silnego plebejskiego zaplecza rewolucyjnego. Sama zaś była za słaba, by móc przeprowadzić powstanie do zwycięskiego końca i do tego w trzech zaborach. Zaplecze plebejskie tej burżuazyjno-demokratycznej rewolucji było rozbite: w Królestwie Kongresowym od jesieni 1844 r., tj. od likwidacji przez policję „Związku Chłopskiego” Ściegiennego; w zaborze pruskim w lutym, listopadzie i grudniu 1845 r. przez aresztowania wśród członków „Związku Plebejuszy” i wskutek uwiezienia Stefańskiego (8 listopada 1845); wreszcie na najważniejszym odcinku — w Galicji przez kreację politykę miejscowych szlachecko-burżuazyjnych przywódców powstania, której następstwem było zatamowanie drogi do masy chłopskiej plebejskiemu nurtowi ruchu: Dembowskim, Goslarom, Leonom Mazurkiewiczom... i śmiercionośna dla powstania rabacja. W tych warunkach ruch rewolucyjny 1846 r. musiał się załamać. Nie należy przy tym wszystkim, co powiedziano wyżej, przeceniać roli rewolucyjnej plebejskiego nurtu w polskim ruchu narodowo-wyzwoleńczym lat czterdziestych XIX w., którego pierwszy etap zamyka powstanie 1846 r. Nurt ten pomimo znacznego zasięgu klasowego i terytorialnego nie był jeszcze dostatecznie silny i dynamiczny, bo brak było w nim właściwego rewolucyjnego trzonu — proletariatu fabrycznego. Braku tego nie był w stanie wypełnić pomimo całej swej ofiarności i bojowości ani sproletaryzowany rzemieślnik, ani chłop pańszczyźniany bądź komornik.

Brak proletariatu fabrycznego w plebejskim nurcie ruchu narodowo-wyzwoleńczego na ziemiach polskich w pierwszej połowie XIX stulecia wynikał z zapóźnionego w stosunku do Zachodu rozwoju przemysłowego kraju.

Entuzjastyczna recenzja książki Engelsa w ostatnim porowolucyjnym numerze „Roku 1846” otwierała dla polskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego nowe perspektywy na przyszłość. Mazurkiewicz uznając bez zastrzeżeń wywody Engelsa odnośnie rewolucyjnej roli proletariatu wskazywał pośrednio społeczeństwu polskiemu drogę do społecznego i politycznego wyzwolenia. Oto dlaczego uważaliśmy za wskazane omówić obszerniej polski ruch narodowo-wyzwoleńczy poprzedzający ukazanie się wymienionej recenzji.

# O położeniu klasy wyrobniczej w Anglii<sup>\*)</sup>

**P**ismo, które kiedykolwiek jako Niemiec napisał, jest niewątpliwie najważniejszym Fryderyka Engelsa i dlatego chcemy pomówić obszerniej o niem Anglii daleko naprzód wysunęła się w postępie przed innymi państwami europejskimi; stanowi ona prawdziwe Eldorado polityków, a zwłaszcza starego europejskiego autoramentu, tudzież przemysłowców wszelkiego rodzaju. Chcieliby oni porwać za włosy całą ludzką i gwałtem ją przyciągnąć, do tego szczęścia angielskiego. Otóż występuje Engels, przedstawia nam tego szczęścia najwyrazistszy daguerrotyp, w którym rozpatrzywszy się należycie, nie wpadamy w żaden zapal uniesienia, ale owszem zostajemy dreszczem przejęci, bo cały urok zewnętrzny polysku, niweczy daleko większa przewaga najokropniejszej nędzy, a my przywykliśmy tam gdzie ludzkość idzie na podział między stronnictwa, kłopotać się o nierównie większą liczbę, o massy. Musimy wierzyć naszym oczom, iż poza całym tym przepychem, który nam okazują z oddalenia i który pięknie jeszcze malują jak jest w rzeczywistości, stoi mnóstwo drobnych, podziernych chatek, do chlewa nie do domu podobnych, w których jak śledzie są na mieszkaniu zapakowani wyrobniicy; tam więc gdzie się spodziewali poznać dobrze i wyborne zorganizowane społeczeństwo, tam widzimy tylko bardzo jaskrawo odbijające się kontrasty bogactwa i nędzy, zapatrzenie sinokurów, a uszczuplenie dochodów pracy, w ogóle despotyzm i niewolę; zamiast budowli na mocnych fundamentach z ciosowego kamienia, spotykamy tylko na murszu ze surówek ulepiony i walący się dom, którego jakby celem była sama zewnętrzna okazałość. Engels bawił długo w Anglii, żył z klasą wyrobniczą i stąd miał sposobność obeznać się należycie z jej stosunkami, a do tego to, co spostrzegł, starał się bliżej objaśnić przez dowody piśmienne i autentyczne. Przeciw zarzutowi stronnictwa zabezpieczył się dokładnie, przez to, że dowody na swoje twierdzenie wyciąga ciągle z pism tych, które mają na celu walczyć przeciw proletariatu, i z dokumentów urzędowych. „Przy największej liczbie, powiada Engels w przedmowie: starałem się klasę zdania ludzi mających

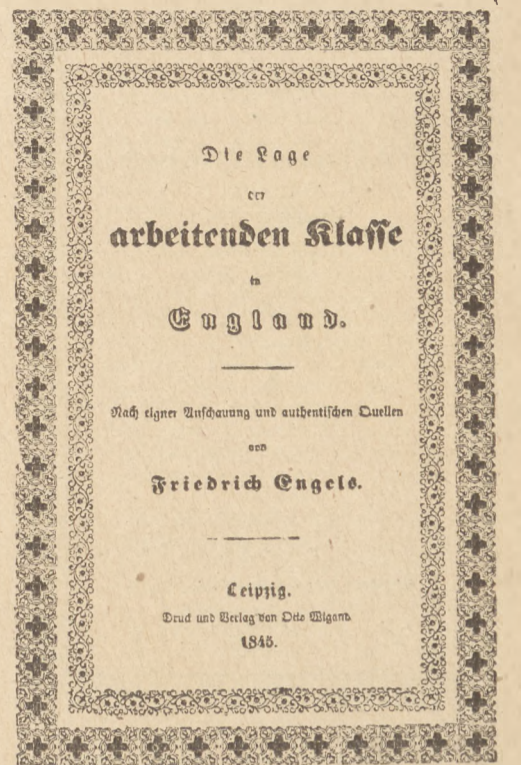
przeciwnie zdanie jak ja z tej przyczyny, że liberalni ciągle starają się wykazywać nędzę tych okęgów, w których rolnictwo stanowi główną gałąź zarobkowania, a że zapierają ubóstwa pomiędzy okęgami fabrycznymi: stronnictwo konserwatywne robi znowu przeciwie, to jest uznaje nędzę miejsc fabrycznych, a zapiera ją w miejscach rolniczych. Z tej przyczyny gdzie mi tylko niedostawało urzędowych dokumentów, przy kreśleniu obrazu wyrobniików przemysłowych, przytaczałem zawsze dowody brane od stronnictwa liberalnego, ażeby liberalne mieszczaństwo bić argumentami z jego ust wyjętymi, a odwoływać się w ogólności tylko wtedy na Torysów i Chartisów, kiedy samo położenie rzeczy przekonywało o prawdzie, albo gdy w własnego przypatrzenia się miał zupełną pewność, albo nareszcie gdy opowiadanie było takich ludzi, którzy mieli za sobą i naukowe ukształcenie, i rękomią osobistego charakteru“.

Autor zaczyna dzieło od przemowy wstępnej do wyrobniików angielskich, w której mówi tak silnie i z serca, a przy tym tak dobrze świadom o swoim szlachetnym sposobie myślenia, iż nie można się wstrzymać aby z jej osnową nie obeznać czytelnika.

„Wyrobniicy! Wam poświęcam dzieło, w którym postanowiłem stawić przed oczy swym rodakom Niemcom obraz waszego położenia, waszych cierpień i walk, waszych nadziei, i waszych widoków na przyszłość. Dostyc długo przestawałem wśród was i z wami, ażeby zdobyć sobie pojęcie waszych stosunków, nie szczędziłem myśli i pracy do ich badania, zglebienia, rozpatrywałem się w dokumentach i urzędowych i nieurzędowych do jakich tylko mogłem się dobrać; nie przestawałem jeszcze i na tym — ubiegałem się za czymś więcej jak za uskarbieniem abstrakcyjnego pojęcia przedmiotu; usiłowałem przypatrzeć wam się w waszych domach, w waszym codziennym życiu, z wami o was i waszem położeniu gawędzić, abym na koniec mógł poświadczyć waszą walkę naprzeciw socjalnym i politycznym stosunkom. To jedynie czyniłem. Nie kłopotalem się zaś wcale o wyższe towarzysstwo, o przyjemność na zapraszanych obiadach, o wina portugalskie i szampańskie, które zapija średnia klasa. To mi jest pociechą i pysznością z tego: pociechą bo nie jedne chwile bardzo miło spędziłem na poznawaniu życia w całej jego rzeczywistości — chwile, albo raczej godzinę, którąm był musiał trawić na elegancko wymuszanej i nudnej

etykiecie, na rozmowach o niczem; pyszność zaś z tego powodu, iż miałem porę oddać sprawiedliwość klasie ludzi ucisnionej i spotwarzonej, klasie ludzi, której pomimo wad jakie się w niej korzenie mogą i pomimo najniesprzyjajniejszych okoliczności, każdy człowiek, choćby nawet był angielskim faktorem biegającym za interesami pieniężnymi musi przyznać znakomitą godność; pyszność się iż miałem sposobność niejako ratować lud angielski od coraz bardziej wzrastającej przeciw niemu nienawiści, która na stałym łądzie koniecznie musiała znajdować zasitek do wzrostu, z brutalnej i egoistycznej polityki i z postępowania waszej nad krajem panującej średniej klasy. Dla średniej klasy jestem zupełnie obcym człowiekiem; nie dla niej rozwija się we mnie nadzieja. Może iż się nie wysławiam należycie po angielsku. Żaden wyrobniik anielski, i nawiasem wspominając francuski nie zachowywał się względem mnie, jak względem cudzoziemca. Dostrzegałem z największą pociechą, że nie podlegacie przekleństwu przesady narodowego i narodowej nienawiści, która jest narzędziem wszelkiego niweczenia — które się nareszcie na niczem innym skończyć nie może, jak na ogólnym kupca ryczałtowego. Widziałem z jakim dla każdego jesteście uczuciem, co swoje usiłowania szczerze poświęca postępowi ludzkości, czy jest lub nie jest Anglikiem; że wszystko co wzniosłe uwielbiane, czy to na waszej, czy na cudzej ziemi powstało. Uznałem, że jesteście czemś więcej jak samymi Anglikiem, jak członkami pojedynczymi odosobnionego narodu; znalazłem u was ludzi członków wielkiej ogólnej rodziny ludzkości, którzy wiedzą, że wasz interes i interes całego rodzaju ludzkiego jest jednym i tem samym. Wam tym członkom jednej i nierozdzielnej ludzkości jako jestestwom człowieczym w najwznioślejszym znaczeniu tego wyrozu, życzyć wam i niejedyn inny ze stałego ładu całym sercem szczęścia i pomyślności, na waszej drodze rozwoju. Dalej naprzód jak dotychczas. Niejedno znieść wam jeszcze przyjdzie; tylko stałość i wytrwanie! Osiągnięcie skutku jest pewne, i żaden krok któryście na waszej prostej drodze zrobili nie przeminie daremnie dla naszej wspólnej sprawy, dla sprawy ludzkości!“

We wstępie wykładu i rozwija autor przegląd rozwoju przemysłowego i wykazuje jak ten rozwój coraz bardziej niweczył dawne patriarchalne stosunki, a na ich miejsce dzisiejsze nowe postawił. Tkactwo bawełniane,



Winieta wydania niemieckiego „Położenia klasy robotniczej w Anglii“

które teraz jeszcze stanowi najgłówniejszą gałąź przemysłu angielskiego, zrobiło początek, dało pchop do ruchu, w który na koniec wszystkie gałęzie przemysłowe wprawione zostały. Przez wynalazek „Jenny“ z r. 1764, tyczący się bardzo prostej maszyny przędzającej, rozpoczęła się podział pracy.

Tkacze po domach surowy materiał na materię w zupełności wyrabiali, a przy tym zwykle trudnili się i rolnictwem, od owego czasu podzielili się na przadków i tkaczy, a rolnictwo całkiem poniechali. Ukształcał się przemysłowy proletariatu, a przez to popuszczane grunta pozamieniały na rozległe dzierżawy. Mali posiadacze albo dzierżawcy (Yeomen), którzy do owej epoki, w tej samej cichości i bez zajmowania się myśleniem węgutowali co ich sąsiedzi tkacze, podpadli także wywołanemu przez to spółubieganiu. Musieli się posprzedawać, a odtąd pomnażają liczbę przadków i tkaczy, albo najemnicy służą w wielkich dzierżawców. Powstaje więc proletariatu rolniczy. Za wynalazkiem „Jenny“ zaczęły się pokazywać inne, które ciągle ułatwiały pracę, zastosowanie maszyn stawało się coraz powszechniejszem i nareszcie zaczęło się szerzyć po innych gałęziach przemysłowych. Zwycięstwo pracy maszynowej nad pracą ręczną przez wszystkie główne gałęzie przemysłu angielskiego stało się zupełnie stanowczem, a cała historia tych głównych gałęzi przedstawia obraz, jak robotnicy ręczni z jednego stanowiska, przez maszyny przerzuceni byli. Skutkiem tego było na jednej stronie małe opadanie cen wszystkich wyrobów, rozkwitanie handlu i przemysłu, zdobywanie prawie wszystkich zagarniętych niedobrze zastąpionych targów, śpieszny wzrost kapitału i bogactwa narodowego; na drugiej zaś stronie jeszcze śpieszniejsze mnożenie się proletariatu, wywracanie wszelkiej własności, bezpieczeństwo zarobku dla klasy wyrobniczej, demoralizacja, wzburzenie polityczne i wszystkie okoliczności tak sprzeciwiające się właścicielom angielskim. Przez wykształcenie się przemysłu nabrały większej wagi kopalnie, marynarka zwiększyła się, a komunikacje lądowe znacznie powiększone zostały; nawet na rolnictwo pokazał się znaczny wpływ, bo przez wzrost ludności zaczęto z większą głębi wydobywać siłę produkcyjną, a stąd udoskonalały się gospodarstwa. Historia przemysłu angielskiego, jak powiada autor, nie ma przykładu w dawniejszych czasach. Przed sześćdziesięciu lub osiemdziesięciu laty, kraj z małymi miasteczkami jak inne, z drobnym i prostym przemysłem, ale z obrzednią, a stosunkowo znaczną ludnością rolniczą staje się krajem nad wszystkie inne, ze stolicą liczącą półtrzysta miliona mieszkańców, z kolosalnymi miastami fabrycznymi, z przemysłem, który wszystkiego dostarcza całemu światu a wszystko dostarczając za pomocą jak najbardziej komplikowanych maszyn, z pilną oświeconą gęsto nabitą ludnością, której dwie trzecie zajmują się przemysłem, i która całkiem inną stanowi klasę, która formuje inny naród z zupełnie innymi obyczajami, i stosunkami jak niegdyś. Przemysłowa rewolucja ma względem Anglii całkiem inną ważność jak polityczna rewolucja dla Francji i filozoficzna dla Niemiec; różnica pomiędzy Anglią z r. 1760 a Anglią z r. 1844 jest przynajmniej tak wielką jak pomiędzy Francją z czasów ancien regime i od rewolucji lipcowej. Najważniejszym owocem tej przemysłowej rewolucji jest proletariatu.

Koniecznym skutkiem ukształcenia się przemysłu, było skoncentrowanie ludności na pojedyncze punkta, a w skutek tego jej gwałtowne mnożenie się, które jeszcze ciągle wzrastało. Prawie cały przybytek padł na klasę proletaryuszów. Drobne mieszczaństwo znikło dzień po dniu i pomaga do wzrostu liczby proletaryuszów; przepaść oddzielająca mieszczaństwo od proletariatu jest codziennie większa i dla proletaryusza zupełnie znikła nadzieja, ażeby kiedykolwiek mógł zostać mieszczańinem. Położenie klasy robotniczej,

Tadeusz Kubiak

## BUT GENERAŁA

(Poemat o generale Świerczewskim)

I

Na podeszwie generalskiego buta,  
na żołnierskiej podeszwie październikowej rewolucji  
linie frontów, przez które przeszedł,  
drogi wolności zaszczytej,  
miasta, wsie, parafie, gminy,  
systemy budowane przez wyzysk i ucisk,  
pośmiertne maski stolic  
odlane z kości słoniowej  
i niedoskonałego złota,  
kopalniane odciski myśliwskich strzelb  
i innych nienawistnych mu narzędzi mordu  
pokrytych rdzą i śniedzią —  
historia ostatnich trzydziestu lat,  
pośmiertna maska faszyzmu,  
który chciał dzielić świat,  
jak skórę na żywym jeszcze niedźwiedziu.

To wszystko ujrzyś na podeszwie  
generalskiego buta —  
na żołnierskiej podeszwie październikowej rewolucji.

Ten but nie znał śliskich, lodowatych  
konferencyjnych podłóg.  
Nie potykał się na wysokich progach Wall Streetu,  
nie deptał kolorowych kości  
z pasją zwierzęcą i podłą.  
Wciągnięty na nogę, której nie obca była  
nagość  
w dzieciństwie na Woli nawet zimą —  
szedł uparcie wzburzonym światem. Linia  
okopów wrastała weń za linią.

Wciągnięty na nogę  
pod Moskwą w siedemnastym roku  
w październikowy, dżdżysty dzień walki  
zrosł się na zawsze z żołnierską stopą.

Zrzadka dotykał spokojnej ziemi  
w zielony wieczór —  
w tej Europie jak Madelon  
lat czterech rodzajej  
dzieci ciągle na rzeź, pełnej złych przeczuć.  
Nigdy nie szedł obok mięciutkich,  
leciutkich jak motyle —  
Wiecznie pod tym butem paliła się ziemia.  
Wołał tę stopę żołnierską — żandarmski kontyent.

Na pomoc! — wołał.  
Drogi wojenne mówią — Prowadź!  
Europo — (Mario, Nataso, Madelon)  
bądź wolna, czysta i zdrowa.

III

Jak na mapie sztabowca na podeszwie  
generalskiego buta wyśledzisz  
wśród pochodów wielkiej rewolucji

i ścieżek w winnicach zawisłych —  
drogę samej wielkiej tęsknoty  
do własnej ojczyzny nad brzeg,  
nad łożę równinnej Wisły.

Meldowali mu obcojęzyczni  
w trzydziestym szóstym i siódmym —  
Sto miast umęczono,  
tysiąc szumiących wsi zasypano  
ziemią i szkarłatnym powietrzem.  
Podcięto w rozkwicie dziesięć tysięcy róż.  
Milionowi sprawiedliwych głowy  
odrabano średniowiecznym mieczem.  
Mściwy nóż.  
Rdzawy nóż.  
Gniewu nóż.

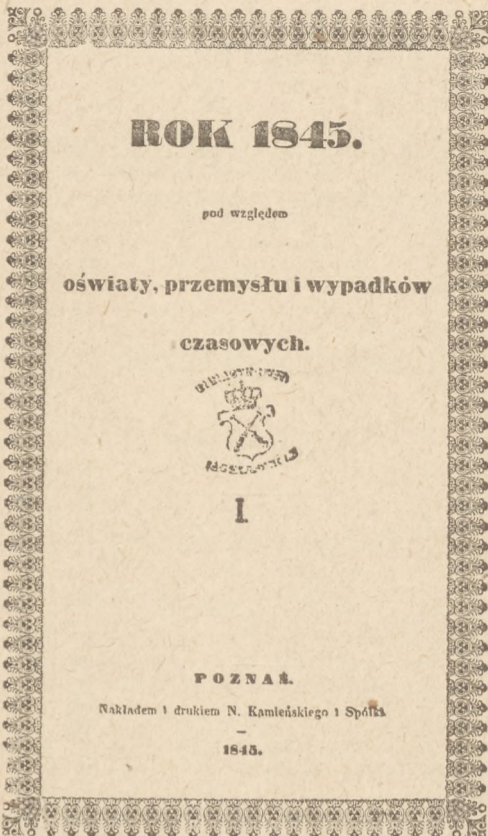
Meldowali mu potem swoi  
w czterdziestym trzecim i czwartym —  
Tysiąc miast umęczono.  
Powierzono głupim i złym los stolicy.  
Tysiąc wsi obrócono w popiół.  
Zięto tysiąc topól  
na szubienice.

Zanurzył się but generała  
w śniegu Europy wschodniej,  
w śniegu Europy środkowej.  
Przywdziany na nogę w dniu rewolucji  
szedł po skłóconej ziemi.  
Nie ominął ani jednego frontu,  
ani jednego okopu dżdżystej jesieni.

Nie ominął ani jednego szlaku  
wyznaczonego powracającym ptactwem.  
Wszystką wędrowkę najdłuższą na żołnierskiej podeszwie.  
Nieprzeniknione drogi otworzone słońcem.  
Krajobrazy wpisane w szprychy kół armatnich,  
w rumowiska kamieni, w deszcze.

Wśród ludzi ze zmęczenia padających  
całkiem zwierzęco,  
wśród koni zamykających w marszu oczy  
całkiem ludzko —  
wśród nocy chrapliwych od walk,  
w dolinach jak muszle szumiących —  
meldowano mokremu od śniegu,  
spalonemu jak słońcu dębu od słońca.

Był zawsze przeciw tym, którzy  
chcieli dzielić świat między siebie,  
jak skórę na żywym jeszcze niedźwiedziu.  
Nienawidził rąk obliczających  
zyski z kolonialnych podbojów.  
Widziano go często na czele kompanii.  
Szedł na przedzie.



„Rok 1845 pod względem oświaty, przemysłu i wypadków czasowych“ (Na okładce błąd ze-  
cerski: Winno być „Rok 1846“ — przyp. red.)

to jest położenie niezmiernie liczniejszej większości, tych ludzi, którzy dziś to spożywają co wczoraj zarobili, którzy swymi wynalazkami i swoją pracowitością stworzyli potęgę Anglii, którzy dzień za dniem lepiej się dowiadują o potęgę swojej, i codziennie silniej dopominają się udziału przy korzyściach z urządzeń społeczeństwa; — pytanie to od wprowadzenia bilu dotyczącego się reformy, stało się pytaniem narodowym. Klasa średnia wykreca się z odpowiedzi na to pytanie, daremnie czyni zabiegi, aby swój interes udać za narodowy, z każdym zgromadzeniem się parlamentu, klasa wyrobnicza zyskuje przestronniejsze pole, prawie wszystkie ważniejsze rozprawy parlamentu redukują się na ten przedmiot. Atoli jest już czas, aby angielska średnia klasa nie dopraszając się, ale odgryzając i domagając się wyrobnikom porobiła przyzwolenia, bo w krótkim czasie, może właściwa pora przeminać. Ale pomimo to wszystko średnia klasa angielska, a mianowicie fabrykantów, którzy pobogacili się samą nędzą wyrobników, nie chce ani słuchać o tej nędzy. Czując się przy władzy i uważając się za cały naród, wstydzi się bliźni i odniesionej rany, i nie chce się z tego wydać przed światem; wzdyga się od wyznania że wyrobnicy są nieludźko biedni, bo na nią jako posiadającą ziemię spadałaby moralna odpowiedzialność, za tak srogą biedę. Stąd to te ironiczne twarze Anglików średniej klasy, a tylko ta klasa znana jest na stałym łądzie — przy każdej rozmowie dotyczącej się wyrobników; stąd to całka nieświadomość stosunków wyrobniczych; stąd te śmieszne szamotanie się, które ta klasa w parlamencie i po za jego murami robi, gdy wchodzi na stół sprawa pro-

letaryacka; stąd to ta uśmiechająca się obojętność na pokładzie słabym, który zakrywa przepaść, który pęknięć może co chwila, o którym jest prawie matematyczna pewność, że pęknie i klasie średniej da spaść na złamanie karku. Trzeba się dziwić i dziwić niesłychanie, że Anglicy nie mają jeszcze ani jednego należytego dzieła o położeniu wyrobników, lubo od wielu już lat około tego się krzątają i kleją i latają. Stąd na drugą stronę ta ponura nienawiść wyrobników głaz-gowskich i londyńskich naprzeciwko ludziom bogatym, co ich systematycznie eksploatują i bez uczucia na pastwę srogiemu losowi rzucają.

Dalej Engels wprowadza czytelnika do wielkich miast i obznajmia go z położeniem wyrobników, tak jak mu się własnymi oczami przypatrzył. W Londynie pokazuje nam przed wspaniałe gmachy stolicy, obrzymie warsztaty okrętowe, okrętami pokrytą Tamizę i nareszcie wprowadza w ruchliwy natłok po ulicach. Ale i to ma już w sobie coś uderzającego, coś takiego przeciw czemu o-burza się natura człowieka. Te setne krocie tysięcy klas rozmaitych i wszelkich stanów, które się tłoczą, czyż nie są prawno ludźmi, z temi samymi zdolnościami i przymiotami i z tym samym interesem osiągnięcia szczęścia? czyż nie mają ostatecznie równego prawa do ubiegania się o to szczęście? A przecież pcha się jeden obok drugiego, jak gdyby w niczem nie byli do siebie podobni, nie mieli równego prawa, a jedyna w milczeniu zawarta pomiędzy nimi umowa na tem polega, że każdy trzyma się strony trefiaru, którą ma na prawo, aby się jeden koło drugiego przemykał, a prąd płynący ciżby, żeby się nie zatykał i nie tamował; nigdy nie wpada do myśli jednemu aby na drugiego przynajmniej wejrzeć. Brutalna obojętność, odosobnienie się oziębie tylko z uwagą na prywatny swój interes, odbija się tem niemilej i w bardziej odrażający sposób, o ile te pojedyncze osoby w szupielniejszym okręgu tłoczą się. Chociaż się to wie, że to odosobnienie się indywidualne wszędzie jest ideą podstawną naszej społeczności, przecież nigdzie tak bezwstydnie nie występuje, z taką świadomością o swym bycie, jak właśnie w tej ciżbie wielkiego miasta. Rozłożenie się ludzkości na monady, z których każda ma oddzielne principium swego życia — a i cel całkiem oddzielny, świat atomowy podnosi się tu do najwyższego szczytu. Stąd też wypływa, że ta walka socjalna jest wojną wszystkich przeciw wszystkim. Każdy człowiek w drugim szuka tylko przydatnego do zyskiwania subiektu, jeden usiłuje wyciągnąć korzyść z drugiego, a stąd wynika, że mocniejszy coraz silniej przytłacza słabszego, a mała liczba mocnych, to jest kapitalistów, wszystko dla siebie zagrabia, kiedy słabi, ubodzy, ledwo nago przy życiu pozostają. Londyn w tym względzie nie stanowi wyjątku: to zjawienie równie się znajduje we wszystkich wielkich miastach i w nich przewrotność naszych urzędów społecznych wybija się najwyraźniej. Ale te niekorzystne stosunki nikogo bardziej nie przynębiają, jak człowieka uboższego. Nikt się o niego nie kłopotuje; porwany i rzucony we wir na bystrzynie, musi się walcować i silić jak może. Spotyka go szczęściem jakie zatrudnienie, to oczekuje go zapłata, która za ledwie wystarcza na utrzymanie w kupie ciała i duszy; nie dostanie roboty, to może sobie kraść, a boi się policji to może umierać z głodu. Engels powiada, że w ciągu jego bytności w Anglii przynajmniej 20 do 30 ludzi z towarzyszeniem najsilniej oburzających okoliczności z głodu prosto pomarło. Najgorszą jednak jest tu niepewność zagra-

żająca ciągle wyrobnikom, że w takie położenie snadno wpaść może.

Współubieganie, niestalość stosunków handlowych, a stąd zmieniające się ciągle przesilenia handlowe wywołują to smutne położenie. Współubieganie pomiędzy wyrobnikami zniża dzienną ich płacę do najniższego punktu przynajmniej na tak długi czas, dopóki jest tylu wyrobników, że pomiędzy nimi przebiegać można i pewna liczba bez zatrudnienia pozostać musi. Niejaka zaś rezerwa tych niezatrudnionych wyrobników, nawet w czasie w którym najwięcej było zatrudnionych, zawsze się znajdowała. Najniższa płaca, czyli jej minimum zależy od stopnia potrzeb, do jakich człowiek w swoim stanowisku przywykł. Stąd według rozmaitości wszystkich gałęzi zatrudnień płaca jest najwyższa dla pracowników przemysłowych, bo ich potrzeby przez to są kosztowniejsze, że oni należą do klasy mającej więcej wykształcenia. Pod tym względem bardzo szkodziły wpływ wywierają wychodźstwo irlandzkie. Irlandczyk przyzwyczajony jest okrywać swe ciało byle lachmanami, przywykł mieszkając z całą swą rodziną i ze świnią, do których tak przywiązany jest niemal jak Arab do swego konia, w jednej i tej samej izbie, albo raczej w jednym chlewie; żyje samymi kartoflami i to jeszcze w małej ilości; ma więc przed rodowitym Anglikiem pierwszeństwo w przyjmowaniu do pracy, przy której gra rolę prosta tylko siła człowieka — dlatego, że zadawała się mniejszym wynagrodzeniem. Ze spadaniem dziennej płacy, spadał ciągle i wyrobnik jako członek społeczeństwa; przez wzrastanie liczby wyrobników wielu z nich zostało bez chleba. Kryzys handlowy nie ma swęj podstawy w jestestwie przemysłu i współubiegania się. Przy dzisiejszej nieregularnej produkcji i przy rozdzielaniu artykułów żywnościowych, które pomyślano nie tylko na zaspokojenie rzeczywistych potrzeb, ale także dla pieniężnego zarobku, obok systemu, podług którego każdy na swoją rękę pracuje i wzbogaca się, raz po raz musi się zdarzać zata-mowanie ruchu. Anglia np. zaopatruje mnóstwo krajów najrozmaitszymi towarami. Lubo więc fabrykant wie ile z każdego artykułu każdy kraj corocznie spożywać może, przecież jednak nie może wiedzieć, ile tam wysyła jego konkurencji. On jest w stanie tylko z ciągle wahałającej się ceny wyciągnąć wniosek domniemany, ale bardzo niepewny, w jakim stosunku zostają zapasy do potrzeby i dlatego musi wysyłać swoje towary na chybił trafił. Wszystko dzieje się na oślep, po omacku a pod chorągwią nieprzewidywalności i przypadku. Za usłyszeniem jakiejś takiej pomyslniej nowinki wyprawia wszystko, co tylko może — mało czasu upłynie a targ towarami przepelniony, sprzedaż się zatyka kapitały nie wpływają na termin, ceny spadają na łeb na szyję, a nareszcie przemysł angielski stanął i nie ma zatrudnienia. W początkach rozwijania się przemysłu, zata-mowania w handlu osiągały tylko niektóre gałęzi fabrycznych i zdarzały się na małej liczbie rynków, ale przez działalność centralizowaną, współubieganie się o zatrudnienia, które nie potrzebują usposobionego wyrobnika i przez to, że towary niepożbyte na jednym rynku nie znajdują drugiego rynku zapewniającego zbytni, namnożyło się coraz więcej drobnych kriz handlowych, które zaczęły tworzyć szereg bardzo złego i szerokiego wpływu stanowiący jeden ogromny. Taki kryzys zjawia się prawie co pięć lat po krótkim kwitnieniu lepszego bytu ogólnego; targ krajowy jak i zagraniczny zapelniony jest towarami i zaczyna odchodzić niezmiernie zwolna. Wtenczas cały ruch prze-

mysłowy utrzymuje się na wszystkich stanowiskach; drobni fabrykanci i kupcy, którzy nie są w stanie wytrzymać bez powrotu do nich kapitału rozwiazanego, bankrutują wielu zaś zatrzymują w biegu swoje maszyny i operacje przez czas niejaki. Tymczasem płaca dzienna wyrobnika zniża się do ostatniego szczebla, powszechna nędza pada na ludzi pracy, instytucje dobroczynności przepełniają się, podatki na utrzymanie ubóstwa muszą rosnać, a wszystko nie jest w stanie zapobiec głodowi i oczywicie na czas niejaki ukazuje się przeludnienie ze wszystkimi swymi skutkami. Wyrobnik bez zatrudnienia bez chleba w świat popchnięty, musi przemysłować, jak przebrnąć z oplakany życiem do szczęśliwszej pory. Niejedyn zahaczy się przy byle zatrudnieniu, w którym dopomaga znowu do jeszcze większego zniżenia płacy dziennej, drudzy nędziej a nareszcie przechodzą do lepszego świata.

Engels oskarża średnią klasę angielską, że gdy się zna dobrze na tem wszystkim, a nie myśli o środkach zaradczych, dopuszcza się wyraźnego socjalnego rozboju. Suchoty, słabość płuc, tyfus i rozmaite inne choroby, zdaniem lekarzy są następstwem podobnego nędznego stanu rzeczy. Nieregularna dieta, zły pokarm pociągają za sobą zżubne skutki. Do tego dochodzi szkaradny zwyczaj pojenia dzieci wódka a nawet i opium, a z tego wszystkiego plus jeszcze rozmaite inne okoliczności muszą wyrastać słabowite i chorobliwe pokolenia. Wszyscy wyrobnicy angielscy z małym bardzo wyjątkiem mają niesłychanie słabe żołądki a ich położenie, szczególnie pokarm nie pozwala nigdy wzmocnienia. Nadto wyrobnik nie może pomyśleć nigdy o porządnej kuracji, bo skądże by brał lekarstwa. Ucieka się do rozmaitych rozpowszechnionych lekarstw, które jakkolwiek same przez się nie są szkodliwe, przecież przez swe częste i długie używanie, chorobę, którą miały zniszczyć, jeszcze bardziej podnoszą. Bardzo to rzadki przypadek, żeby wyrobnik osiągnął późną starość, już przez to i podobne wpływy niezmiernie się przerzedzają szeregi proletariackie, lubo nie w stosunku ich rekrutowania się, — do tego przychodzi ogromne marnowanie się dzieci. Mąż i żona muszą być ciągle poza domem, dzieci muszą zostawać pod obcym dozorem, który zwykle bardzo słabo zastępuje rodzicielską opiekę.

Co za opadnięcie na duchu z tego wszystkiego, a szczególnie z tej niepewności względem swego położenia, musi wpływ wywierac na wyrobnika. Żyje on dobrze, dopóki ma należyty zarobek. Robieniem oszczędności głowy sobie nie zawraca, boby się to na nic nie zdało. Oszczędności wszelkie z jego strony mogą być tylko drobnostki i nie potrafią mu zabezpieczyć utrzymania przez czas, w którym będzie bez roboty. Najgłębszym źródłem opadnięcia na duchu jest przymusowa robota. Jak dobrowolna produkcyjna praca przynosi największą rozkosz, tak przymusowa jak najprzykrejsza, najbardziej upokarzająca męczarnia.

Wyrobnicy, lubo niewielu pomiędzy nimi umie czytać, rozumieją bardzo dobrze swój interes i interes mieszczaństwa; stosunki rozwinięły ich umysł praktycznie tak dobrze jak szkoła, tylko że się zupełnie usunęły z pod wpływu religijnego i nienawidzą swych duchownych. Nie mają żadnego poszanowania dla porządku społecznego, bo utrzymują, że przeciw nim wymierzony i że się tylko przeciw nim zawiązał; walczą ciągle przeciw całemu społeczeństwu, a wykaz przestępstw kryminalnych co rok większy w tabelach, jest bardzo wyraźnym dowodem tego. Formują się zwolna mające się spotkać obozy, jeden mieszczan a drugi proletariuszy.

(c. d. n.)

Jan Szczepański

## O orientację w rozwoju kultury na wsi<sup>\*)</sup>

(artykuł dyskusyjny)

### 1. Z HISTORII OŚWIATY NA WSI

W r. 1770 biskup Massalski ogłosił konkurs na temat „Jakie nauki należałyby dawać kmiotkom?“ Nagrodzono pracę księdza A. Popiawskiego, który uważa, że nauki te powinny mieć na celu pożytek fortun szlacheckich. W tym fakcie znajdujemy jasne stanowisko klasowe, które nadawać będzie piętno pracy oświatowej na wsi przez cały wiek XIX. Bo przecież i słynna Komisja Edukacji bardzo podobnie określiła zadania szkółek wiejskich. Wszystkie próby szerzenia oświaty dla ludu podejmowane w pierwszej połowie XIX wieku, przez oświeconą szlachtę, były wyrazem albo czysto się przejawiającego interesu klasowego, albo też przesłoniętego delikatną zasłoną filantropii społecznej. Z czasem ta filantropia przybiera postać obowiązku społecznego, wykonywanego przez „starszych braci“ wobec ludu, który należy przygotować do przyszłych zadań. Wystarczy porównać takie wydawnictwa jak „Kmieć przowski“ F. B. Piekarskiego z 1811 r. czy też „Pielgrzym z Dobromila“ I. Czartoryskiej z 1818 r. żeby zobaczyć w jaki sposób wyobrażano sobie kulturalne potrzeby ludu.

Nowe tendencje wniosło Towarzystwo Demokratyczne, którego działacze, przekonani

o, że praca oświatowa jest niezbędnym warunkiem przygotowania do pracy politycznej. Tragiczne doświadczenia demokratów, stwierdzających, że lud znajduje się poza narodem, że „lud należy dla polskości pozyskać“, prowadzi do szukania drogi i sposobów „wprowadzenia ludu do narodu“, wykorzystania jego sił dla budowania narodowej przyszłości. Romantyczna to była droga, prowadząca przez takie hasła jak „zdobywanie umiejętności ludu“ gdyż „polski lud to ojciec twój“.

Ideologia pozytywizmu, przeciwstawiająca się romantyzmowi, wnosi nowe elementy do oświaty ludowej. Kładąc nacisk na elementy zawodowe i praktyczne, pozytywiści nie podzielała wiary romantyków, że „oświata ludu dokonana cudu“, lecz dąży do takiego pokierowania pracą oświatową, aby położyła podstawy pod rozwój gospodarczej nacji. Ideałem pozytywistów polskich jest silne ekonomiczne mieszczańskie zachodniej Europy, stojące wysoko społecznie i politycznie, dzięki swej organizacji i mocy gospodarczej. W hasłach oświatowych pozytywizmu znajdziemy odbicie tych ideałów. „Bogactwo podnosić, waśń wewnętrzną łagodzić“, orzekało jedno z hasel pozytywizmu.

Na gruncie hasel pozytywistycznych wyrosła działalność oświatowa na wsi wielu towarzystw powstałych w drugiej połowie XIX wieku. Zdawano sobie sprawę, że nie można zbudować silnego narodu, w którym niższe klasy, chłopci i robotnicy, będą stali na tak niskim poziomie kulturalnym, że nie będą mogli brać udziału w życiu narodu. Stąd działalność takich instytucji oświatowych jak: Stowarzyszenie Gwiazda, z 1869 r., Stowarzyszenie Szerzenia Oświaty po wsiach, założone w 1870 r. Towarzystwo Oświaty Ludowej założone w 1881 r., Macierz Szkolna, założona w 1882 r., Towarzystwo Czytelni

Ludowych z 1880 r. była filantropijnym działaniem ludzi kierujących się motywami solidarystycznymi, starających się wprowadzić jakąś część ludu do udziału kulturalnego w życiu narodowym.

W Polsce tego okresu obserwujemy zjawisko, przewycięzania celową akcją filantropijną warunków feudalnych, tych warunków, które na zachodzie Europy zmiołły zwycięski rozwój kapitalizmu. Kapitalizm w kraju u nas rozwijał się z opóźnieniem i inaczej niż na Zachodzie. Nie powstawały w Polsce wielkie miasta i fabryki potrzebujące wolnej siły roboczej, stojącej na dostatecznym poziomie, by móc ją wprzeznąć do pracy w przemyśle. Kapitalizm w Polsce był typu kolonialnego i żądał robotnika najciemniejszego, podatnego na najgorszy wyzysk. Nie było polskiego państwa kapitalistycznego wprowadzającego powszechne nauczanie i inne reformy oświatowe. Taki kapitalizm nie stworzył dlatego w Polsce tych warunków, w których zamożność wyzwolonych chłopów mogłaby się podnieść szybciej i wyżej, jak to dokonało się z pewnymi odłamami ludności wiejskiej na Zachodzie. Dlatego dążenia uświadomionych przedstawicieli klas wyższych, przez cały wiek XIX, łącząc się z różnymi postępowymi ruchami społecznymi, mają na celu jednostronne oddziaływanie na „lud“, ażeby dać mu początki umiejętności, potrzebnych do rozbudzenia własnych dążeń i świadomego nimi kierowania. W każdym razie jest to działalność filantropijna klas wyższych, w której chłopci są tylko przedmiotem oddziaływania.

### 2. WYZWOLENIE RUCH CHŁEPSKI I JEGO DĄŻENIA KULTURALNE

Obudzony i zorganizowany przez działaczy klas wyższych polityczny ruch chłopski, roz-

począł na przełomie wieków nową walkę o podniesienie oświatowe wsi. Podjął on tę samą walkę z przeżytkami feudalnymi, których nie zburzył w Polsce kapitalizm, a które okazały się przeszkodą, tamującą rozwój ruchu chłopskiego, nadającą mu zupełnie swoiste piętno społeczne, ideologiczne i polityczne. Zarówno ruch wyzwoleny robotników, jak i chłopów stawiał sobie wielkie zadania społeczne i kulturalne. Oba ruchy przechodziły w początkach przez okres utopijny. Kiedy ruchy robotnicze, po doświadczeniach i walkach w pierwszej połowie wieku XIX (zwłaszcza w Anglii), zdały sobie sprawę, że wyzwolenie robotników może się dokonać tylko siłami samych robotników, i przystosowały się do tego zadania ideologicznie i taktycznie — nie pozostało to bez wpływu na samodzielny ruch chłopski. Patrząc na główne tendencje, nurtujące ruch chłopski w Polsce, możemy dostrzec wyraźnie ten moment, kiedy pod działaniem różnych warunków zjawia się hasło podniesienia wsi siłami samej wsi.

Hasło to jednak miało zupełnie inny sens historyczny, niż w zastosowaniu, do klasy robotniczej. Istniała zasadnicza różnica między klasami chłopskimi a wszystkimi innymi klasami, jakie kolejno występowały na arenie historii i wytwarzały określone typy społeczeństw i kultur. Chłopi istnieli we wszystkich typach społeczeństw, a w okresie tworzenia się społeczeństwa feudalnego, we wczesnym średniowieczu, grali już ważną rolę, nie mogąc jednak zdobyć takiego znaczenia społecznego, jakie zdobyło rycerskie ziemiaństwo, i popadając w jego niewolę. Ustrój feudalny przewycięzony został przez mieszczaństwo, które obalwszy feudalizm w szeregu krwawych rewolucji, stworzyło społeczeństwo kapitalistyczne, z innym ustrojem

<sup>\*)</sup> Tezy z przemówienia wygłoszonego na zjeździe wychowanków Uniwersytetu Ludowego w Brusie. Artykuł prof. Szczepańskiego drukujemy ze względu na ważność postawionego w nim zagadnienia rozwoju kultury na wsi (a w szczególności społecznej funkcji świetlicy wiejskiej). Nie ze wszystkimi tezami Autora zgadzamy się i dlatego traktujemy artykuł jako dyskusyjny, sądząc, że wywoła on wiele wypowiedzi uzupełniających i wyjaśniających do końca zagadnienie rozwoju kultury na wsi.  
Redakcja

i inną kulturą. Chłop zdobył wolność polityczną, lecz o ile nie wszedł do klasy kapitalistów wiejskich, popadł w niewolę ekonomiczną kapitalisty. Znowu na grzbiechach chłopskich pisano historie, nie dopuszczając chłopów jako klasy do czynnego jej tworzenia. Przewyciężenia ustroju kapitalistycznego dokonuje klasa robotnicza, która, wychodząc z dna społecznego na początku wieku XIX, rozwinęła się jako wielka siła społeczna, zdolna do rewolucyjnego przekształcenia świata, stworzenia nowego społeczeństwa i nowej kultury. Wraz ze zwycięstwem klasy robotniczej zaczyna się nowy okres w historii klas chłopskich. Zjawia się szansa historyczna dla odegrania twórczej roli w dziejach narodu.

Wyrasta ona ze zbieżności dążeń zachodzących między tymi klasami. Rewolucja robotnicza mogła być skuteczną tylko przy poparciu „nowego wydania wojny chłopskiej” — jak się wyraził Engels. Lecz zanim dojrzało do zrozumienia w szeregach chłopskich, ruch ludowy przeszedł drogę, walcząc z pozostałościami feudalnymi na wsi polskiej. Z tej walki też wyrastały dążenia kulturalne ruchu ludowego. Dlatego wydawało się działa-

czom ludowym, że ruch ludowy może się ograniczyć do dawnej i własnej kultury ludowej. Szukając sposobów przewyciężenia upośledzenia społecznego i kulturalnego wsi, przez podkreślanie godności człowieka chłopca, tak nieładzko poniewieranej w ciągu wieków, ruch chłopski zwracał się do tego dorobku wsi, wytworzonego w ciągu tysiącletniej historii klas chłopskich — do kultury ludowej. Był to przedmiot dumy chłopskiej, że to co było najpiękniejszego w poezji Mickiewicza i muzyce Chopina, pochodziło z dorobku kultury ludowej. Lecz mimo to, że kultura ludowa, kultura mas pracujących jest odwiecznym i nigdy nie wysychającym źródłem zasilającym twórczość kultury narodowej, nie mogła ona spełnić tej roli, jakiej od niej się spodziewał wywołujący ruch ludowy z przodującym, rewolucyjnym ruchem klasy robotniczej na czele. Była to kultura tradycyjna, przekazywana tradycją ustną, kryjąca w sobie wielkie skarby, lecz nie nadająca się zupełnie do spełnienia tej roli, jaką jej historia wyznaczyła, roli odrodzenia kulturalnego wsi, wyrównania jej upośledzenia i dorównania twórczego współczesnym zadaniom, walczącym z ustrojem kapitalistycz-

ny, w sobie treść do zbudowania kultury nowego ustroju. Robotniczy ruch socjalistyczny opierał się na postępowym, rewolucyjnym dorobku kultury europejskiej, przemawiał jej cele i kontynuował jej tendencje rozwojowe. Stąd oświata robotnicza wprowadzając robotnika w hasła i problematykę ruchu socjalistycznego, wprowadzała go w wielki, nowoczesny prąd społeczny i kulturalny, idący przez cały świat prąd postępowy, otwierający robotnikowi szeroki horyzont spraw międzynarodowych i dający perspektywę na wielkie procesy historyczne. Natomiast kultura ludowa nie mogła spełnić tego zadania. Wieś podnosiła się przez kapitalistyczny postęp techniczny, i takie podniesienie gospodarce, przez zorganizowanie polityczne i wykorzystanie liczebności klas chłopskich jako narzędzia walki politycznej w granicach ustroju demokracji liberalnej.

Teoretycznie istniały w latach międzywojennych dwie drogi rozwoju przed wsią polską: albo w ramach społeczeństwa i gospodarki kapitalistycznej organizować się gospodarzo, stawiając sobie jako wzór drogę rozwojową, którą przeszła n. p. wieś duńska,

lub też korzystając z nowych perspektyw, jakie otwierała gospodarka kolektywna, rozpoczęła w Związku Radzieckim, szukać wyjścia w tym kierunku.

Tendencja silnie burżuazyjno - ziemianńska szła w kierunku kapitalizacji wsi (co w praktyce oznaczało: dekapitalizację). Ruch ludowy poszedł tą drogą. Ideologicznym tego wyrazem był agraryzm, jako konsekwentna a w rezultacie wyrodniała forma ideologii chłopskiej w polskich warunkach międzywojennych. Bo trzeba pamiętać, że ruch ludowy walczył jeszcze z pozostałościami feudalizmu, że kapitalizm uważał go za swojego sprzymierzeńca w walce z obszarnikami. Pokutowały w ruchu ludowym te same utopijne złudzenia, które kazwały ruchowi robotniczemu w Anglii przed 1832 r. popierać mieszczaństwo w walce z torryską reakcją. Dlatego ruch ludowy kulturalnie nawiązywał wstecz do własnych zachowawczych tradycji ludowych i jakkolwiek uczył chłopca szacunku dla własnego dorobku kulturalnego, dawał mu poczucie godności i własnej wartości, pchał go do zrostu z przeszłością, wartościami pielęgnowanymi, rozbrajał go wobec zadań przyszłości.

Wtedy to ruch ludowy zaczyna wytwarzać własne instytucje kulturalne, pojawiają się domy ludowe i świetlice na wsiach. Zadania ich były określone w różny sposób: najogólniej można powiedzieć, że były one instytucjami uświadamiania kulturalnego bardziej jeszcze warstwy chłopskiej niż antagonizujących, walczących klas chłopskich. Są one jedną z wielu różnych form pracy oświatowej, jaka zaczyna się na wsi. Obok szkolnictwa powszechnego, szkół rolniczych, powstaje nowy typ instytucji kulturalnej ruchu ludowego — uniwersytet ludowy.

### 3. PRZEBUDOWA WSI A POZIOM I TREŚĆ KULTURY MAS CHŁOPSKICH

Procesy przebudowy społecznej i gospodarczej rozpoczęte wraz z wyzwoleniem z okupacji niemieckiej, zastały dlatego masy chłopskie w dużym stopniu nieprzygotowane kulturalnie. Procesy te przyniosły klasom chłopskim udział w władzy politycznej wraz z klasą robotniczą, otworzyły szerokie możliwości zlikwidowania wszystkich wiekowych upośledzeń wsi, wyrównania krywd i wejścia na drogę postępu. W czym wyrażało się nieprzygotowanie kulturalne chłopów do tej nowej roli historycznej? Zbyt wielki był odsetek analfabetów na wsi a zwłaszcza wśród kobiet wiejskich, zbyt mała łączność mas chłopskich z dorobkiem ogólnej kultury narodowej i europejskiej, za mała możliwość orientacji w wielkich procesach historycznych, nieskrystalizowana świadomość własnej postępowej, rewolucyjnej ważności społecznej, brak wyobrażeń dostatecznie wyraźnych o własnym miejscu w historii narodu.

Historia wskazuje, że każda klasa, objawiająca polityczną lub też doszedszy do ważności społecznej, stwarzała sobie instytucje kształcące, wyrównujące poziom i umożliwiające spełnienie zadań dziejowych tej klasie narzuconych.

W okresie międzywojennym ruch chłopski zaczął sobie wytwarzać takie instytucje. Uniwersytety ludowe, koła młodzieży i prowadzone przez nie świetlice miały przygotowywać chłopów do zarzadzającej się „agrarności” w przyszłości roli społecznej i politycznej. Teraz jednak, kiedy procesy przebudowy wsi już się rozpoczęły, kiedy klasy chłopskie w sojuszu z robotnikami objęły władzę w państwie, należy tym instytucjom nadać nowy charakter, wynikający z rewolucyjnych zadań stojących przed wsią.

Należy przebudować postawę mas chłopskich, wciąż jeszcze nastawioną na walkę z pozostałościami feudalnymi i nie dość rozumiejącą zadania, wynikające z walki z ustrojem kapitalistycznym. W okresie kiedy głównym wrogiem klas chłopskich był obszar, pleban i przedstawiciel państwa stojącego na straży pańskiego majątku, oraz kłód działanie kryzysu dosięgającego wieś bezlitośnie przeprowadzało zjadliwe równanie w dół wszystkich warstw chłopskich, w zacierających się pozornie różnicach w strukturze klasowej wsi, ideologia solidaryzmu chłopskiego mogła odżyć i nabrać siły. Wynikała ona bowiem z walki z ziemiaństwem. Ideologia ta i walka z ziemiaństwem nadawały społeczno-polityczną treść działalności kulturalnej chłopskiej instytucji oświatowych. Wystarczy przejrzeć „Przewodnik” pracy kół wiciowych z okresu międzywojennego, ażeby stwierdzić, jak dalece walka z przetrzymkami feudalnymi wyznaczała kierunek i treść pracy oświatowej kół.

Przebudowa wsi rozpoczęła reformami powojennymi, stawia pracę oświatową na wsi przed nowymi zadaniami. Inny kierunek walki społecznej i politycznej, inny kierunek dążeń gospodarczych, wymaga w walce o nowy ustrój pracy planowej stworzenia instytucji stałego oddziaływania, równomiernego i długofalowego. Praca oświatowa powinna dać chłopu techniczną i naukową podstawę przeprowadzenia skutecznego rozpoczętych reform. Nie może urzędystycznie nowego ustroju klasa posiadająca znaczny odsetek analfabetów, nie może wejść na nowe tory gospodarki klasa odcięta od wiedzy technicznej w swojej dziedzinie, nie może rządzić politycznie klasa nie mająca w swych masach poczucia swego historycznego znaczenia i ważności dziejowej. Zanim mieszczańscy angielski czy francuski sięgną po władzę polityczną, opierając się na swej mocy ekonomicznej, według słów Woltera „przejony był dumą i niebezpiecznym porównywał się do obywatela rzymskiego”. Klasa nie mająca zrozumienia i świadomości swej roli historycznej nie może rządzić skutecznie, tym bardziej, że znaczenie ekonomiczne klas chłopskich zupełnie nie odpowiada ich liczebności. W ten

Piotr Wyrobek

# W ROKU MICKIEWICZA

(Wspomnienia)

W trwającym „Roku Mickiewiczowskim”, kiedy ożywiamy badania i edycję dzieł poety, kiedy upo- wszechnienie jego poezji i wiedzy o niej staje przed nami jako zadanie narodowe, należy również zadać sobie sprawę ze stopnia dojrzałości mas ludowych do powszechnego przyjęcia Mickiewicza. Zbieżność to nie przypadek, że Polska Ludowa oddaje Mickiewicza, przypominając wiek ciemnoty na wsi, wiek zatem nieuchronnej rozłąki ludu z ludowym i narodowym poetą. Wiek zmagania się o przybliżenie do niego i wejście w powszechność posiadanie jego myśli i piękna. Starzec wspomnienia bezpośrednie, obejmujące 60 lat, zamyka w jednym tuku, drugi, na przyszłość, otwiera od wyzwolenia Polski po drugiej wojnie światowej, od rewolucyjnych jej przemian.

Jest w tym doświadczeniu osobistym starca, wielka, przełomowa prawda. P. Ch.

Rozwijam z mojej mózgowicy zwoj wspomnień, by wyładować je na papier, by zrobić miejsce dla innych wspomnień, albowiem w dużej przestrzeni czasu mego życia nagromadziło się ich moc.

W mojej młodości może „sielskiej i anielskiej” dla innych, lecz nie tak radosnej dla mnie, młodości chłopiejszej, słuchało się opowiadań starych — jak ja dzisiaj — chłopów, też o rzeczach niewesołych i przykrych — w te długie zimowe wieczory o roku „straszonym” czterdziestym szóstym. Były też w tych opowiadaniach wspomnienia wojenne mojego ojca, jak na te wojny z braku kolei musiało się maszerować pieszo lub na koniach do Włoch i dalej jeszcze; były opowiadania o chłostach bykowcami za pańszczyzny, o kijach wyasygnowanych hajdukami przez mandatariuszy austriackich na chłopów. Niemalże zaciekawienie wzbudzało to, co słyszało się o „czarownicach”, które różne „ziela” skuteczne na dojność krów zbierały na Babiej Górze i roznosiły po chałupach, a kobiety kupowały je ze strachu przed nimi, zachęcone też własnym zabobonem. Wielką jednak i przejmującą groźbę wywoływały opowiadania o głodowych „rokach”, kiedy to ludzie dla braku pożywienia z pól, które się nie udały, bo lata były to suche, to znowu mokre, jeździli po jakikolwiek ziarno „na stronę węgierską” aż do Koszyc, lecz nieraz i tam nie można było go kupić, gdyż i tam wyczerpały się zapasy. Wracali więc z niczym — bezradni — co począć. Żywić się musieli ludzie na wsiach podhalańskich różnymi trawami i korzonkami roślin, co przyczyniało się w dużej mierze do masowego występowania epidemicznych chorób — jak tyfus głodowy czy cholera, na przełomie połowy XX stulecia. Po tych katastrofach głodowych pozostały na uboczu wsi cmentarzyska choleryczne, świadczące o ogromie klęski głodowej.

Wtedy i później rodziny biedniejszych chłopów zadłużały się u bogatszych, dając im swe grunta w zastaw za ziarno. Zastaw ten jednak był tylko pozorny, bo gruntów zastawionych nigdy już odzyskać nie mogli, spadkobiercy tych zmarłych na cholere rodziców. W Osielcu był taki wypadek na roli Marawowej, gdzie niejaki Stanisław (czy Józef) Bogacz zwany Capek od „karbowego”, trzymał w zastawie trzy najlepsze kawałki pola za wypożyczone 30 reńskich.

Gdy w r. 1887 szewc z Makowa, niejaki Józef Ceremuga ożenił się z Marysią Szklaną naszą sąsiadką, a dowiedział się o tym, poprosił mnie, bym o tym zastawie napisał do sądu, co też uczyniłem (miałem wtedy lat 16), a skutek był niezawodny, bo się widziało potem tego Bogacza, jak chodził na wezwanie kilkakrotnie do sądu i nie pomagały mu żadne wykryty, bo naczelnik sądu jordanowskiego wydał nakaz oddania gruntu bez żadnego pardonu i bez zwrotu pożyczki. Nie jest to przyjemne wspomnienie, gdyż udało się w życiu komuś coś dobrego zrobić?

Różne zjawy z przeszłości życia ludzkiego budzą człowieka w nocy nieraz, jak huk tej tu śpiewki góralskiej, niegdyś podłyszanej:

Hej, — były to czasy!  
nie dziś to, ni wczora —  
Wtedy, kiech wyganił  
łowiecki z kosca!  
— Wej — patrz kany som  
i przecierom łocy —

Spać mi się strasznie kce —  
— cóż jo robił w nocy?  
Hej! — jo z łowieckami  
po jałowcach hasał,  
Bił mnie za to łociec —  
bok źle łowce pasał. —

Zdawałoby się, że to jakaś beżmyślna śpiewka, a tymczasem jej sens zawiera też wspomnienie: pastuch źle pasł, skoro owce rozpuścił po jałowcach i białą się tam gdzie dla nich nie było paszy — więc ojciec nie puścił mu tego płazem, bo powinien je puścić po „pajskim” lesie lub jakiejś łące. Wszak powiadał starzy już po zniesieniu pańszczyzny, kiwając głowami: „ta pajszczyzna była wej nieraz niezła dla chłopów biednych, bo było co i ukraść i wiedziało się gdzie — bez wielkiego kłopotu”.

Dobrze się teraz dzieje, że rejestruje się analfabetów, tworzy się dla nich przymusowe kursy nauczania — odrabia się zaniedbania przeszłości, kiedy to była ciemnota z nieodłączną nędzą na wsi, kiedy chłop modlił się, pracował i nic z tej pracy nie miał, więc podkrażał. To było zjawisko społeczne ogólne, więc nie na samym tylko Podhalu występujące. Utkwił mi w pamięci ten 60-letni już okres czasu, gdyż panowała na niejedynej wsi wtedy wielka ciemnota, o oświeceniu nie można było myśleć, bo nie dbały o jej wprowadzenie klasy panujące, a i chłop nie widział jeszcze w niej dla siebie pożytku, i wtedy, kiedy w r. 1890 największego z poetów prochy składano uroczyste obok królów w wawelskiej katedrze.

Utkwił mi w pamięci przemówienie pewnego wójta ze znanej mi dalszej wsi, wygłoszone w czasie uroczystości poświęcenia budynku szkolnego. Wójt zachęcony do przemówienia jako przedstawiciel wsi powiedział: „Rzekę prawdą, ale szkoła jest potrzebna — jedno trza se tak zawarować, coby dzieci do niej nie chodziły — wtedy, kiedy robota w polu i pasienie bytła jes!” Zyczyła sobie gromada, by to powiedział wobec inspektora szkolnego, który zjechał na te uroczystości.

W młodych latach obserwowałem życie nauczycielstwa wiejskiego, w działem przyczynny odstręcające od wsi absolwentów seminariorów nauczycielskich, którzy woleli dokształcać się na inżynierów (Joachim Traczyk z Osielca, poseł w jego ślady Michał Bugielski ze Stryczowa) na lwowskiej politechnice, lub inni, którzy woleli iść do pracy w innym zawodzie — szli więc nawet ci najzdolniejsi z maturami i odznaczeniami — do kolei, jako dla niektórych najintraśniejszej, do poczty, do sądownictwa, bali się bowiem ciemnoty na wsi ówczesnej — a więc cierpiała na tym... Odstręcała ich niska płaca początkowa — te 15 reńskich na miesiąc! Odstręcała także może też nędzą spowodowaną nieuczciwością i niekoleżeńską zazdrością ze strony nauczycieli-kierowników na niskim poziomie stojących szkół wiejskich, przeważnie 1-klasowych, gdy ktoś ze wsi wiedziony litością młodszemu nauczycielowi chciał dać (za darmo oczywiście) kawkę mleka, garnuszek masła lub kilka jajek. Znałem takich, którzy stołowali się u kierowników, placąc za wikt 10 reńskich miesięcznie, za śniadanie służyła im zaś sucha plecionka i szklanka herbaty gotowanej na maszynce — tak samo było z kolacją — to było kosztem tych 5 reńskich z owych 15-tu, ale nie wszyscy mogli korzystać z pomocy rodziny, by ta reszta zapłacić mieszkanie, gdy go dla nauczyciela pomocniczego nie było w danej szkole — lub kupić sobie ubranie i obuwie, światło i opał, gdyż i kawałkiem drewna szkolnego opałowcy nie chciał się podzielić z nim nielitościwy nieraz kierownik. Może też z zazdrości nieraz, że ten młodszy nauczyciel był już lepszą od niego siłą pedagogiczną i z tego powodu lepiej się podobał wsi, że lepiej umiał podchodzić do dzieci i lepiej je uczył. Taki kierownik był rad pozbyć się takiego, co mu zawadzał i cieszył się, gdy ten zrażony niepewnościami z posady odszedł. Cóż jednak powiedzieć o takim nauczycielu jak znany mi zbliska — ów śp. Bonawentura Gaik, syn górnika z Bochni, który przed pierwszą wojną światową i później był kierownikiem szkoły ludowej w Toporzysku koło Jordano-

wa, bo ja nie mam słów uwielbienia dla niego, że mimo takiej nędzy, w jakiej żył, jako nauczyciel w Osielcu, Bienkównce, gdzie tam jeszcze potrafił wytrwać na posterunku.

Szkoła za moich czasów była jeszcze jednoklasowa, o jednej sile nauczycielskiej a 6-ciu latach nauki w 3 oddziałach. Był oddział niższy i wyższy w każdej klasie, więc siedziało się w każdym oddziale dwa lata. Nauka trwała od 8 godz. rano do 12 w południe. Po południu od godz. 2 do 3 uczyły się dzieci z pierwszych 2-ch lat nauki. Choć nieregularnie posyłało mnie do szkoły, bo też była przy gospodarce wszelaka dla mnie robota w polu jak i pasenie bydła, byłem uczniem celującym i miałem wielką ochotę i zamiłowanie do nauki. Nieraz mogłem zastąpić już nauczyciela, gdy go jakaś przeszkoda odrywała od zajęć szkolnych, a nie miał zastępstwa na miejscu ani urlopu, a musiał wyjechać do miasteczka w nagłych wypadkach zachorowań w rodzinie itp. Cieszyłem się z tego, a po wyjściu ze szkoły słyszałem jak o mnie mówiono, że potrafił dorównać wiedzą tym, którzy ukończyli 6-tą klasę gimnazjalną (oczywiście bez obcych języków). Niemieckiego uczyłem się w wolnych chwilach w domu po opuszczeniu szkoły, sam sprawdziwszy sobie w Warszawie podręcznik (metodę Reusnera). Ten nauczyciel, który mnie w szkole uczył, awansował na kierownika 4-klasowej szkoły w Zawoi, gdzie miał pod nadzorem 3 szkoły 1-klasowe w przysiółkach tej wielkiej wsi, liczącej przeszło 12 tysięcy mieszkańców.

Istnienie szkoły w Osielcu wiąże się z czasem erekcji parafii w r. 1848 w tej wsi, która należała po 1560 do parafii makowskiej i jest też wynikiem zdobyczy „Wiosny ludów”. Początkowo parafialna szkoła o jednym nauczycielu-organicie, uczącym w ziemie także moich rodziców, przybrała po roku 1873 nazwę szkoły ludowej jednoklasowej, w której nauczali organista i nauczyciel Czyżewski, po nim Franciszek Zabierzewski, a po tym już nauczyciele: Bicz, Sadowski, Baziński i inni. Szkoła mieściła się początkowo w wynajmowanej izbie, na roli Świsłowej, później gdy zbudowano organistówek przy kościele, miała w niej dużą salę, a gdy dzieci z powodu ich przyrostu nie mogły się pomieścić w tej sali, kupiła gmina starą murywaną karczmę w r. 1886 i nadbudowała ją, urządzając na piętrze domu 2 sale szkolne na stołtystwie. Budynek ten trwał do stycznia 1945 r., kiedy to uciekający Niemcy w popłochu spalili go, by nie był przytułkiem armii radzieckiej, która przayła wtedy hitlerowską armię na Podhalu, zmuszając ją do ucieczki na zachód. Cegła zużyta w r. 1947 do budowy transformatora. W okresie powojennym zbudowana szkoła mieści teraz 8 klasę rolniczo-zawodową.

Dziś widzi się wielki postęp tej wsi już zelektryfikowanej i powoli ale stale dźwigającej się z biedy. Chłopi oświecają się, czytając prócz gazet także książki. Jest we wsi inaczej niż dawniej, gdy, kiedy dzieci chciały coś przeczytać, to im tego zabraniano, bo szkoda było czasu i nafty. Dziś już inaczej, bo już także „Pana Tadeusza” czytają nawet kobiety wiejskie, z czego cieszyłby się Adam Mickiewicz, że jego książki też pod strzechy wsi podhalańskiej zabłądziły. Bo dziś jest we wsi biblioteka, gdy nastała ta Polska Ludowa, o której w czasach niewoli — my młodzie — tak ze łzą w oku marzyliśmy. Młodzież dzisiejsza ma już zapewnioną opiekę państwa, podczas gdy w czasach naszej młodości nie było komu podać nam pomocnej i przyjaznej dłoni, byśmy się mogli systematycznie uczyć.

Jakże jest inaczej, gdy nastała ta Polska Ludowa, gdy młodzież chcąc się uczyć wzięło w opiekę państwo! Piszę o tym z pewną dumą, że dożyłem tych czasów, gdy stoję już na progu wieczności, że w roku Mickiewicza—Słowackiego—Chopina każda wieś nie jest już tak zacofana co dawniej. Bo są już w niej jednej wzorowe szkoły, dziecińce, świetlice, buduje się w niej jednej wygodniejsze domy i zabudowania gospodarskie, zakłada się ośrodki zdrowia i spółdzielczość, tworzy biblioteki i boiska sportowe, by człowiek wsi lepiej i piękniej żył.

sposób przed chłopskimi instytucjami oświatowymi staje zadanie takiego podniesienia ogólnego poziomu kulturalnego, i nasylenia tego podniesienia takimi treściami, jakie są potrzebne ze względu na przebudowę gospodarstwa wsi i jej udział w nowych zadaniach politycznych.

#### 4. DWA ZADANIA NACZELNE ŚWIETLIC WIEJSKICH

Z tego co powiedziałem wyżej, wynika jasno jedno podstawowe zadanie świetlic wiejskich. Mają one być centralną instytucją oświatową na wsi, ośrodkiem w którym zgłębiają się wszystkie prace, zmiernające do szerzenia wiedzy techniczno-zawodowej, politycznej i ogólnej. Świetlica może dopełniać wszystkie inne instytucje i formy działania kulturalnego, takie jak szkoła powszechna i zawodowa, różne kursy itp. Dopełniać je tzn. zapewnić chłopom możliwość stałego kontaktu z prasą różnego rodzaju, książkami, prelekcjami i krótkimi kursami. W ten sposób w świetlicy przez samokształcenie czy systematyczne deksztalcanie można by zapewnić ciągłość kontaktu wsi z postępem wiedzy i postępcm ogólnego życia kulturalnego na-

rodu. Spełnienie tych zadań umożliwiła różnorodność prac, elastyczność techniki pracy świetlicowej i możliwość wielokierunkowości pracy, właściwa świetlicom. Mówiąc ogólnie, świetlica może być stacją rozdzielczą, kierującą dorobek ogólnej kultury narodowej tzn. dorobek naukowy, polityczny, i artystyczny na wieś, może być ogniwem poprzez które wieś jest w stałym kontakcie z pulsującym życiem całego narodu.

Lecz świetlice przypadnie również w udziale drugie niezmiernie ważne zadanie. Nie będzie ona tylko jednostronnie kontaktowała wieś z kulturą narodową. Wiemy bowiem, że wieś jest konieczną bazą kultury narodowej, że kontakt musi być obustronny, jeżeli kultura narodowa ma pozostać przejawem istotnych dążeń narodu. Walczące klasy o postęp, walczące klasy chłopskie są twórcą kultury ludowej, stanowiącej integralną część istotnej bazy kultury artystycznej każdego narodu. I pod tym względem świetlica wiejska ma drugie ważne zadanie do spełnienia: być ogniwem skupiającym aktualną wiejską twórczość mas pracujących, opiekować się nią i pielęgnować postępcm tradycje kulturalne wsi. Organizowanie i podtrzymywanie

twórczości kulturalnej ludowej i przekazywanie jej dorobku kulturze narodowej — oto wielkie zadanie świetlic.

Klasy chłopskie uznają bez zastrzeżeń prymat polityczny klasy robotniczej w dziele rewolucyjnej przebudowy społecznej, mają jednak poczucie swej tysiącletniej tradycji kulturalnej ludu pracującego, tradycji wiążącej je z dziejami narodu, który na swych barkach wzniosły. Na straży tej oczyszczonej z obciążań wstecznych tradycji, która jest tak istotna dla utrzymania kulturalnego bytu narodowego, postępcm klasy chłopskie mogą stać skuteczniej, po bardziej bezpośrednio niż klasa robotnicza. Świetlica wiejska powinna zatem stać się również instytucją twórczości kulturalnej mas chłopskich, jako części niezbędnej podstawy dla przyszłej, nowej kultury narodowej.

#### 5. JEDNOŚĆ PLANU

Te zadania mogą być wykonane pod warunkiem jednolitości planu gospodarczego i kulturalnego. Praca kulturalna nie operująca się na rzetelnych podstawach gospodarczych, zawisa w próżni i jest tylko marnowaniem energii i środków. Kultura wyrasta

tam, gdzie życiowe minimum potrzeb zostało zaspokojone w określonym zakresie. Stąd na pierwszym etapie świetlica powinna stać się narzędziem w gospodarce przebudowie wsi, stałym ośrodkiem kształcącym i systematycznie oddziaływującym w przyspieszeniu tej przebudowy. Plan kulturalny jest częścią planu gospodarczego. Zależność jest tu obustronna. Bez współpracy instytucji oświatowych plan gospodarczy nie zostanie wykonany, bez wykonania planu gospodarczego nie będzie podstaw pod szeroką działalność organizowania twórczości kulturalnej. Umiejętne powiązanie prac wynikające z tych celów jest zadaniem działaczy praktyków świetlicowych. Program prac świetlicowych powinien wynikać z tej historycznej perspektywy rozwoju kulturalnego wsi na przestrzeni ostatnich 150 lat. Wytyczne tych prac określi jednolity plan przebudowy społecznej i kulturalnej. Skończył się okres partyzantki kulturalnej poszczególnych działaczy. Szanując twórczą indywidualność jednostek, nie możemy zapominać o potrzebach klasy drobnych i średniorolnych chłopów, biorącej w swe ręce współodpowiedzialność za losy narodu i państwa.

Jan Szczepański

Stefan Ignar

## DROGĄ NASZĄ — SPÓŁDZIELCZOŚĆ!

Gospodarstwa indywidualne, jakie dotąd w Polsce powszechnie istniały, nie są gospodarstwami, które powstały przed setkami lat, jako coś niezmiennego. Gospodarstwa indywidualne były wynikiem zmian ustroju; wynikiem zwycięstwa kapitalizmu nad feudalizmem. W ustroju kapitalistycznym nie mógł istnieć chłop pańszczyźniany. Stało to w sprzeczności z wymaganiami intensyfikacji i mechanizacji rolnictwa; stało to w sprzeczności z rozwijającą się anonimową formą eksploatacji mas pracujących przy pomocy pieniądza, jak również z zasadami deklaracji praw człowieka i obywatela, zasłaniającej interesy burżuazji.

W ustroju kapitalistycznym mógł istnieć formalnie najemnik, bądź też chłop, właściciel parceli. Jeden miał swobodę najmowania się do pracy na folwarku, drugi swobodę sprzedawania, kupowania, pożyczania i giodowania.

W ustroju kapitalistycznym musiał istnieć wolny chłop, jako rezerwuwar armii robotników i bezrobotnych na rynku pracy. Rozwój nauki rolnictwa i techniki upraw wymagał bardziej odpowiedzialnych ludzi, wymagał wolnego chłopca, czego nie było w prymitywnej gospodarce feudalnej. Jakkolwiek powszechność chłopstwa w ustroju kapitalistycznym była bądź półproletariacka, bądź stanowiła masę producentów drobnotowarowych — to jednak była ona miarzą, na której wyrastał kapitalizm wśród samych chłopów prawem kumulacji, wyższu siły najemnej, lichwy i skupu gruntów od bankrutujących biedaków. Pozory powszechnej zamożności chłopskiej w niektórych dzielnicach naszego terenu wytworzyło liczenie gospodarstw, a nie ludności wiejskiej. Poznańskie np. miało opinię bogatej dzielnicy, chłopci mieli opinię zamożnych, podczas gdy w Rzeszowskim, czy Krakowskim nędza chłopów była w oczy. W Poznańskim bowiem brano pod uwagę wielkość jednostek rolniczych. Wiemy dobrze, że w Poznańskim na tych bogatych chłopów pracowały masy bezrolnych naimitów i masy chłopów, posiadających kilkumorgowe działki ziemi. Różne zabiegi stosowano dla uspienia chłopów, a między innymi kapitalistyczne prawo dziedziczenia i spadkobrania, które ekspansję chłopskiej nędzy wyładowywało w niekończących się sporach i procesach rodzinnych, z czego korzystało państwo kapitalistyczne (podatki od spadku, rejencji, sądy, adwokaci). Oczywiście, musiały istnieć wątle możliwości dorobku i awansu, aby ogół mógł karmić się tą teorią.

W ustroju kapitalistycznym masy chłopskie reprezentowali bogacze wiejscy i razem z obszarnikami kierowali organizacjami politycznymi i gospodarczymi.

Oni reprezentowali postęp w rolnictwie. Reprezentowali masy chłopskie, mimo że te masy nie chciały być przez nie reprezentowane.

Wysokie ceny ziemi w stosunku do cen zboża uniemożliwiały pozytywne rozwiązania problemu spłat rodzinnych. Musiało następcm rozdrobnienie lub sprzedaż gospodarstwa.

Z chwilą gdy pada kapitalizm w przemyśle, nie może dłuższy czas trwać ustrój rolno drobnotowarowy z półproletariuszami na jednym skrzydle, a ze skwarkami kułackimi — na drugim. Nie może istnieć pozorny „laissez faire” w rolnictwie, gdy się wprowadza planową gospodarkę w przemyśle. Nie może trwać ucisk i wyższ klasowy na wsi, gdy został w zasadzie zlikwidowany w mieście. Taki stan demoralizuje i rozwyrdrza bogaczy i spekulantów oraz destrukcyjnie wpływa na klasę robotniczą i na aparat państwowy.

Gospodarka indywidualna w rolnictwie w państwie o przemyśle socjalistycznym stanowi zaporę w rozwoju dobrobytu mas chłopskich i robotniczych. Taki stan może istnieć tylko w okresie przejściowym.

Praktyka społeczno-ekonomiczna w krajach kapitalistycznych wykazała stopniową likwidację chłopskiego rolnictwa.

Ekonomiści i politycy krajów kapitalistycznych wyraźnie szli i idą na wypędzenie z

ziemi mało- i średniorolnych chłopów, popierając gospodarke kapitalistyczną.

Takim przykładem jest hitlerowska reforma rolna, która stworzyła chłopskie gospodarstwa dziedziczne o rozmiarach do 125 ha. Odmówiła masom chłopskim miana chłopca, a tytuł chłopca przyznawała tylko bogoczom i obszarnikom, tworząc kapitalistów w rolnictwie, jako tzw. „stan żywicieli”. Hitler przeprowadził w Niemczech reformę, likwidującą drobne chłopskie gospodarstwa. W Stanach Zjednoczonych również znikają drobne fermy, rozrastają się natomiast coraz bardziej przedsiębiorstwa rolne oparte na większym wkładzie kapitału, na mechanizacji i pracy najemnej. Podobny rozwój był w Czechosłowacji w okresie przedwojennym. Ci, którzy wówczas zwiedzały Czechosłowację, mieli możność stwierdzić, że w Czechach panuje agraryzm i kułactwo, że agraryzm nie daje biednym masom chłopskim, że agraryzm czechosłowacki to kapitalizm rolniczy.

Podobną, jak wiemy, była teoria proroka agraryzmu, prof. Laura w Szwajcarii, który bił się o pozycje wielkochłopskie w Szwajcarii, był natchnieniem dla naszych agrystów; oddziaływał na teorie rolnicze w Polsce i na naszą naukę polityki agrarnej.

Z tego przeglądu widać wyraźnie, że chłopskie drobne rolnictwo przeznaczone jest na zagładę w krajach kapitalistycznych, bądź już zostało w nich zlikwidowane i opanowane przez bogaczy i obszarników.

W okresie okupacji w komisji programowej Rady Jedności Narodowej oraz w komisji programowej „ROCHA” opracowywano reformę rolną dla Polski powojennej, która miała być realizowana pod ewentualnymi rządami Mikołajczyka. Założenia tego programu zostały opracowane przy udziale ludzi, którzy wywodzili się z „Wici” i Stronictwa Ludowego wbrew protestom terenowych oddziałów B. Ch. Niektórzy z tych „programowców” zostali dziś usunięci z PSL-u jako przeciwnicy reakcji. Reforma ich miała polegać na likwidacji małorolnych chłopów, na wyrzuceniu ich z ziemi za przykładem hitlerowskich reformatorów.

Reakcyjny program z czasów okupacji przewidywał pozostawienie na terenie byłej Kongresówki wszystkich obszarników. Program ten przewidywał, że majątki folwarczne będą własnością obszarników, że będą one ośrodkami kultury i że obszarnicy mają stać się przewodnikami rolnictwa w Polsce wyzwolonej na własnych folwarcznych gospodarstwach.

W reformie gospodarstw chłopskich przewidywano komasację, tworzenie większych gospodarstw a wyrzucenie biedoty z ziemi, którą ona posiadała. Gdyby taki program został zrealizowany, mielibyśmy w Polsce całkowitą realizację programu hitlerowskiego, mielibyśmy „stan żywicieli” i kompletne zepchnięcie mas chłopskich mało- i średniorolnych. Jeśli mi dzisiaj mówimy o przebudowie ustroju rolno, o zmianach, jakie są konieczne z punktu widzenia ekonomicznego — nie możemy oczywiście iść po drodze eliminacji mas chłopskich na korzyść bogaczy. My ustrój rolny musimy przebudować nie tylko na drodze ekonomicznej, ale i społecznej, to znaczy musimy umożliwić masom chłopskim podniesienie dobrobytu i kultury. Dlatego nasza droga jest przeciwstawną kułackiej drodze, nasza droga jest drogą spółdzielczą.

Czy tu chodzi o nakaz kolektywizacji, wydany przez administrację lub doktrynerskich polityków?

— Tak niektórzy wrogowie starali się te sprawy wyjaśnić.

W latach 1945—1947 niektórzy krótkowzroczni działacze polityczni, robotniczy i ludowi zaangażowali się w propagandę głoszącą, że w Polsce nie będzie żadnych zmian. Dzisiaj musimy się przyznać do tego, że właśnie takie wypowiedzi, które wychodziły z kół SL, które wychodziły i z kół PPR — stworzyły przeszkodę w przebudowie rolnictwa. Niektórzy bez wiary w słuszność tych twierdzeń powtarzali je, aby nie wprowadzać zamieszania i rozbieżności.

To stanowisko jest dziś przez nas rewidowane pod przymusem potrzeb życia, bo okazało się w ciągu tych kilku lat, że rolni-

ctwo indywidualne poprowadzone wprawdzie mocno przez reformę rolną, ale gdzie przewagę zdecydowaną ma bogacz wiejski, któremu nakreśliłmy granicę od 50—100 ha ziemi, że takie rolnictwo nie może być sprawiedliwe i ekonomicznie uzasadnione. Nauka czerpana z życia mówi, że rolnictwo wymaga dalszego, gruntownego przebudowania i przejścia na formę spółdzielni produkcyjnych.

Jeśli ktoś twierdzi, że hasło spółdzielczości produkcyjnej zakłada niepotrzebnie na wsi spokój, to jest kompletnym analfabeta w ekonomii i historii, bądź złośliwym agitator, walczącym o przywrócenie upadłego porządku niesprawiedliwości społecznej.

Zmiana ustroju w rolnictwie to sprawa trudniejsza niż nacjonalizacja przemysłu. Nie chcemy absolutnie zmniejszać wagi wprowadzenia nacjonalizacji w przemyśle, ale musimy stwierdzić, że podczas gdy zwycięstwo w przemyśle przyniosła wygrana bitwa z kapitalizmem o władzę polityczną, o rządy w kraju, a sama nacjonalizacja została przeprowadzona przez zwykłą ustawę sejmową, to do zwycięstwa socjalizmu w rolnictwie trzeba iść przez dodatkowe zwycięstwo, przez zwycięstwo społeczne, to znaczy przez wygranie wojny klasowej na wsi w samej warstwie chłopskiej.

Ta sprawa wymaga dłuższych wysiłków. Fabrykant i robotnik to dwa zdecydowanie wrogie światy, świadome wzajemnej wrogości, zmobilizowane w wyraźne fronty. Natomiast walka klasowa na wsi, to labirynt sprzeczności i pozorów, które utrudniają wyraźne rozgraniczenie przeciwników. Jasne jest jednak, że w wyniku tej walki zaplanuje powszechność chłopska nad niełęczną, wżartą pasożytniczo w masę chłopską grupą bogaczy i spekulantów. Szczególnie chłopci średniorolni często są zdezorientowani w linii frontu. Spoglądają oni niejednokrotnie z zazdrością na bogaczy, aby osiągnąć tej pozycji, tym bardziej że wielu z nich zostało zdegradowanych z pozycji bogacza w systemie podziałów rodzinnych.

Biedota natomiast jest trzymana na uwiecznie przez apokaliptyczne straszenie z ambon, skuteczne w stanie ciemoty i analfabetyzmu. Niemniej jednak bezrolni i małorolni chłopci, wiedzeni zdrowym instynktem klasowym, coraz śmielej szarpają łańcuch wyzysku i ogłupienia, coraz częściej żądają należnych sobie praw w decydowaniu o obliczu wsi i o ustroju rolno.

Stopniowo i średniorolni zaczynają rozumieć, że ideał wótkowa rozplywa się w blaskach istotnej demokracji, gruntowanej na siłach ludzi pracujących, a nie posiadających. Wielu z nich puszczą poły bogacza, obawiając się dzielić jego odosobnienie społeczne. Dzieje się to zwłaszcza w tych powiatach, gdzie władze administracyjne i organizacje polityczne potrafią zbliżyć się do średniorolnych i zrozumieć ich potrzeby oraz stawiać na nich, jako na pozytywną i twórczą część wsi.

Wiadomo bowiem, że bez udziału świadomego średniorolnego chłopca nie można przebudowywać ustroju rolno.

Niektórym ludowcom wydaje się, że winniśmy zamknąć drzwi za naszą przeszłością. Jest to stanowisko niesłuszne. Na przeszłości należy uczyć się i opierać, unikając popełnionych niegdyś błędów.

Wracając do stwierdzenia wpływu ruchu robotniczego na rozwój radykalnego Ruchu Ludowego, o czym mówiłem w swoim referacie na Kongresie Z. S. Ch., muszę podkreślić także wpływ ruchów chłopskich na rozwój ruchu robotniczego; ruch robotniczy i klasa robotnicza korzystała także z dorobku buntowniczego chłopstwa.

U nas te sprawy są mniej rozpracowane, ale w historii Rewolucji Rosyjskiej został wydobyty i pokazany dorobek rewolucyjny Pułgaczewa, bunt Chmielnickiego, Genty i Żeleźniaka. Tacy poprzednicy rewolucyjnego ruchu robotniczego, jak Hercen, Czernyszewski i wielu innych, prowadzili swą działalność, pisali dzieła i wydawali nielegalne pisma, czerpiąc doświadczenia z buntów chłopskich. U nas mówimy i wiemy coraz więcej o chłopach kołczuszkowskich, o Deczyńskim, o 4 Pułku i o Ludzie Polskim „Gromada Grudziądz”, która stworzyła ludowy program uto-

pełniającego socjalizmu i spółdzielczości produkcyjnej. Do wspólnej tradycji robotniczej i chłopskiej należy ks. Ściegienny. Prawdziwy rewolucyjny ruch robotniczy jest robotniczo-chłopskim i naodwrot.

Był czas kiedy mówiono — chłop jest wszystkim — myśląc o podtrzymaniu rządów kapitalistycznych przez kułaków. A z drugiej strony niektórzy sekciarscy i tendencyjni działacze ruchu robotniczego szeryli niechęć do wsi. Część działaczy organizacji robotniczych nie rozumiała przez szereg lat istoty sojuszu robotniczo-chłopskiego i widziała potrzeby takiego sojuszu. Chcieli oni przeskoczyć do socjalizmu wprost z folwarków, pomijając reformę rolną. Myśleli więc kategoriami fałszywymi, które zostały skrytykowane przez budowniczo nowego ustroju — Lenina. Przez Lenina został skrytykowany luksemburgizm, który nie doceniał istoty problemu chłopstwa. Świadomość rozwoju idei rewolucyjnej i sojuszu robotniczo-chłopskiego potrzebna jest chłopom, aby nie czuli się ubogimi krewnymi i żeby rozumieli, że ich udział jest niezbędny w walce o nowy ustrój.

Klasa robotnicza bije się na głównym froncie, skrzydła chłopskie zaś są również ważne i gwarantują zwycięstwo ludu pracującego. Tak trzeba rozumieć sojusz robotniczo-chłopski.

Mówiąc o spółdzielczości produkcyjnej, zrobiliśmy dygresję, abyśmy na wsi przełamali wreszcie pokutującego często ducha bierności. Chłopi bez klasy robotniczej sami nic nie wskorają, lecz i klasa robotnicza na wsi nie zdoła nic zrobić bez chłopów.

W Związku Radzieckim gospodarność osiąga się pracą uświadomioną, pracą społeczną, pracą kulturalno-oświatową — śpiewa się tam pieśni o bohaterze kołchoziku i traktorzysto. Bo rzeczywistość są oni bohaterami. Tam człowiek rozumie istotę i wartość gospodarności, podczas gdy u nas nieraz indywidualny gospodarz, a zwłaszcza bo- cz wiejski, nie obsieje tym nasieniem pola, które jest ważne z punktu widzenia gospodarności ogólnopolskiej, bo on jest gospodarzem na „swoim” gospodarstwie i postępcm, jak mu się podoba...

W spółdzielni produkcyjnej także każdy jest gospodarzem, ale na wspólnym gospodarstwie. Nic ma tam skłonności do lekceważenia dobra społecznego i spychania roboty na najemne siły, ale każdy poczuwa się do odpowiedzialności za ogół, za całość. Trzeba podkreślić, co widzi się w praktyce, iż gospodarność w gospodarce zespołowej jest o wiele wyższa niż w indywidualnej. Podkreślam i kładę wielki nacisk na gospodarność w uświadomionej gospodarce, ponieważ u ludzi, którzy nie widzieli żywych przykładów, ta sprawa budzi najczęściej zastrzeżeń i wykorzystywana jest przez propagandę antyspółdzielczą.

Do spółdzielczości produkcyjnej idzie się przez ogólną spółdzielczość, a więc przez spółdzielczość rolniczą, mleczarską i poprzez grupy branżowe, do spółdzielczości produkcyjnej idzie się po drodze spółdzielczej.

Jeśli ktoś zabawia się w teorie, że z dzikiej wsi, niekniętej pracą spółdzielczą można stworzyć spółdzielnię produkcyjną — jest utopista.

Chcąc zorganizować spółdzielnię, trzeba przedtem zorganizować wieś, ponieważ tylko uspołecznieni chłopci tej wsi mogą stworzyć spółdzielnię produkcyjną.

Praca w spółdzielniach gminnych i w komitetach członkowskich, w grupach produkcyjnych jest dlatego niezmiernie ważna. Trzeba zdecydowanie odeprzeć sklepikarzy i handlarzy, pchających się do spółdzielni gminnej, która ma siedzibę w miasteczku. Mówią oni często, żeby chłopów nie przyjmować do pracy w gminnej spółdzielni, żeby stanowiska w niej rezerwować dla nica, dla bezrobotnych sklepikarzy.

Eliminując szkodliwe wpływy sklepikarzy i spekulantów, trzeba nam równocześnie coraz bardziej rozwijać ruch łączności chłopów z robotnikami, który na tym etapie przejściowym jest niezmiernie ważny, ponieważ tą drogą będziemy łamać zasadę reprezentacji wsi przez bogaczy. Bez tej łączności same gromady nie są zdolne przeprowadzić skutecznej walki z pasożytami społecznymi.

\* Głos w dyskusji w drugim dniu posiedzenia Rady Nacz. SL, 18. 6. 1949 r.

# Jakiego Mickiewicza znamy?

Rok mickiewiczowski obchodzony wspólnie w Polsce nasuwa konieczność oceny powojennego dorobku wiedzy o Mickiewiczu oraz narzuca nowe postulaty wobec tej dziedziny nauki o literaturze. Ukazały się już cztery tomy wyda-

nia narodowego dzieł Mickiewicza oraz nowe publikacje historyczno-literackie. W związku z Wystawą Mickiewiczowską w Warszawie, wielkim widowiskiem teatralnym „Mickiewicz z nami” oraz setkami obchodów we wszystkich województwach kraju wylaniają się nowe zagadnienia dotyczące dróg społecznego funkcjonowania spuścizny mickiewiczowskiej. Sprawom tym w najbliższych numerach poświęcimy jeszcze kilka recenzji i omówień.

REDAKCJA

Wanda Leopoldowa

## O naukę i prawdę



Henryk Szyper

Wciąż jeszcze jest aktualne pytanie, rzucone przez Stanisława Pigonia po pierwszej wojnie światowej („Przebieg Warszawy”, 1922): „Jakiego Mickiewicza znamy?”

Wówczas pytanie to dotyczyło zniekształceń dokonanych przez wydawców na tekstach poety. Dziś, po blisko 30-tu latach od tego zezwania, otrzymamy wreszcie (oby jaknajszyciej!), kompletne i krytyczne wydanie pism Mickiewicza. Wydanie, w którym nie będzie już brzdądzić „przyjacieliska” cenzura obyczajowa (por. np. A. Chodźko, bajka „Przyjaciele”), ani niesumienność w odczytaniu autografów poety; wydanie oparte na gruntownym sprawdzeniu wydań dotychczasowych, dające sumienną i wnikliwą lekcję trudnych często do odczytania rękopisów, przynoszące niezafalszowany i niezniekształcony tekst utworów.

Ale pytanie z r. 1922 pozostało ważne przede wszystkim w innej sferze zagadnień. W sferze interpretacji twórczości i życia poety, Mickiewicza, jakiego poznawaliśmy w szkole i na uniwersytetach, w sferze tego, co mówiły nam o nim monografie literackie — a negdoty Władysława Mickiewicza, ciekawy psychologizm Kallenbacha, obledny „Mon-salvat”...

Nie chodzi o stare porachunki. Któżby się jeszcze w tej chwili przejmował Kallenbachem? Już przed wojną, w tej, jak w wielu innych sprawach, Boy-Zeleński napsuł sporo krwi oficjalnej nauce uniwersyteckiej. Ale ostatecznie rewizjonizm ten skrytalizował się we Lwowie w latach 1939-41, w o-wym małym Polskim Piemencie kulturalnym, jak go nazywał w swoich wspomnieniach Henryk Szyper („Kuznica” 15/1946). Wtedy ostatecznie rozprawił się z „dawną” mickiewiczologią Boy („Nowe Widnokreśli”, 1941: „Stare i nowe drogi wiedzy o Mickiewiczu”), wtedy w artykułach i odczytach J. Borejszy, J. Przybosa i in. zaczęto do właściwych proporcji sprowadzać mistycyzm poety i towiańszczyznę, wtedy przy współpracy uczonych radzieckich i w oparciu o nowe materiały poszerzono wiedzę o okresie pobytu w Rosji Mickiewicza. W tej atmosferze powstała w latach 1940-41 książka Henryka Szypera: „Adam Mickiewicz — poeta i czło-wiek czynu. Zarys popularny”<sup>1)</sup>

Obecny rok mickiewiczowski, poza niewątpliwym osiągnięciem, jakim jest „Wydanie Narodowe”, przyniósł szereg potężnych publikacji o Mickiewiczu. Potężnych — gdy patrzymy na leżący na biurku blisko 600-stronicowy rocznik mickiewiczowski „Pamiętnika Literackiego” i zwaliste tomy monografii Kleinera. Niepokojnie wygląda przy nich niewielka książeczka Szypera. Ale niestety znów aktualne staje się przy nich pytanie: „Jakiego Mickiewicza znamy?”...

W tym zestawieniu jeszcze wyraźniej występuje ogromna doniosłość „Zarysu” Szype-

ra. Doniosłość ta jest dwójaka: przede wszystkim jest to monografia istotnie popularna, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Skorzysta z niej z łatwością każdy uczeń, każdy uczestnik zespołu świetlicowego. Nie zastąpi jej pod tym względem wydana niedawno piękna książka Jastruna o Mickiewiczu, w metodzie interpretacji utworów i aluzji biograficznych skierowana do czytelnika dobrze orientującego się w twórczości i życiu poety. Szyper prostym i jasnym językiem daje zwięzły a jednocześnie systematyczny wykład o twórczości i działalności Mickiewicza, doskonale zapoznający czytelnika z całością tej wielkiej poezji i wielkiego życia. Równocześnie książka ta, to, chronologicznie rzecz biorąc, pierwsza monografia polska, burząca znaczną część utartych, upartych a fałszywych sądów o Mickiewiczu. Najbardziej twórcze części książki Szypera dotyczą publicystyki Mickiewicza, mistycyzmu poety i okresu towiańszczyzny. Nie negując oczywiście istnienia w twórczości Mickiewicza nurtu mistycznego i tradycyjnego, ukazuje Szyper współistnienie a często i przewagę nurtu postępowo-rewolucyjnego. Wielkie sprzeczności epoki, w której żył i działał Mickiewicz, odbijają się w sprzecznych często elementach jego światopoglądu. W działalności i twórczości poety widać niemal niestanny, dramatyczny konflikt, w momentach jednak nateżenia fali rewolucyjnej nurtu rewolucyjno-demokratycznego góruje wyraźnie u tego wielkiego realisty. Ogromną zasługą Szypera jest właśnie ukazanie Mickiewicza niejednołitego, żywego, historycznie prawdziwego i wyznaczenie należytej roli i właściwych proporcji stanowisku Mickiewicza rewolucjonisty — pisarza i działacza. Dopiero w takim ujęciu zrozumieć można rdzowód, do jakiego sięgała walcząca w Hiszpanii kompania polska — kompania im. Mickiewicza. Dlatego też znajdziemy w tej książce doskonałą analizę „Książki Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego”, wykazującą jak: „Mickiewicz wypowiadał często w mistycznej szacie słownej wiele prawd o głęboko postępowej treści”, jak obok akcentów dewocyjnych, przekonaniu o niezależności przebudowy duchowej od przebudowy społecznej itp. przeprowadza zjadliwą i burzącą krytykę despotyzmu, liberalizmu kapitalistycznego, kompromisowości burżuazji francuskiej, a jednocześnie rzuca hasła walki z despotyzmem w skali światowej, uświadcza rolę rewolucji społecznej itd. Z ogólnych założeń autora płynie też trzeźwe spojrzenie na towiańszczyznę, poprzedzone stwierdzeniem: „Patologiczna strona tych zabiegów mistycznych nie interesowała uczonych polonistów XX wieku, którzy zajmowali się tym ruchem głównie od strony jego „świętości” lub odstępstwa od kościoła katolickiego i nie mówili bez ogródek prawdy o społeczno-obyczajowym charakterze owej „sprawy bożej”. Stąd dalej mamy świetną charakterystykę publicystyki Mickiewicza w „Trybunie Ludów”, popartą licznymi przykładami z artykułów („Socializm”, „Orleanizm” — demaskowanie klasowych interesów burżuazji francuskiej, „Miasta robotnicze” i in.) lub choćby artykułem programowym z 14 marca 1849, z którego niesposób się oprzeć zacytowaniu zdania: „Co się tyczy stronictw, które walczą ze sobą o władzę w Europie, we Francji i w Zgromadzeniu Narodowym, zawsze będziemy po stronie ludzi, którzy, wierni instynktowi postępowemu mas, pracować będą nad zbudowaniem ustroju społecznego zgodnego z nowymi potrzebami ludu”. Toteż po takich przykładach i po przeprowadzeniu przez autora analizy różnic między stanowiskiem Mickiewicza a socjalizmem, czytelnik bez zastrzeżeń przyjmuje wniosek Szypera: „Nie był zatem Mickiewicz wyraźnie socjalistą, schodził się jednak z socjalizmem rewolucyjnym na punkcie działalności praktycznej. W tym czasie był zdecydowanym — można powiedzieć — skrajnym demokratą rewolucyjnym”.

W czasie kiedy Mickiewicz staje się wreszcie żywą własnością całego narodu, znaczenie społeczno-kulturalne tej książki popularnej, a jednocześnie pierwszej przełamującej w tak istotnych sprawach tradycyjne legendy o Mickiewiczu — jest ogromne.

Stwierdzenie to w chwili obecnej miesza się z bolesnym skojarzeniem. Jest rok mickiewiczowski. Pojawili się nowe publikacje. I wobec większej części z nich stawiamy w dalszym ciągu niepokojące pytanie: „jakiego Mickiewicza znamy?” A jednocześnie kilka tygodni temu odprowadziliśmy na cmentarz wojskowy w Warszawie trumnę ze zwłokami Henryka Szypera — pioniera w walce o pełną, naukową prawdę o Mickiewiczu.

Jadwiga Iwanowska

## Szkodliwa popularyzacja

Niedawno odbywały się matury. I tak się złożyło, że przybiegł do mnie w panice jeden z tegorocznych delikwentów, z prośbą żeby mu coś poradzić do „powtórzenia” Mickiewicza — „bo to, rozumiecie, jubileusz, na pewno coś o Mickiewiczu z polskiego będzie, a podręczników nie ma, i ja w ogóle jestem mechanik, chciałbym potem na politechnikę...” Poradziłam książkę Szypera. Następnego dnia przybiegł znów zaferowany, komunikując mi, że książka Szypera w żadnej księgarni nie mógł dostać, jest wyczerpana, znalazł egzemplarz w jakimś antykwariacie, ale chcieli 450 zł, zato wszędzie proponowano mu 2 zeszyty o Mickiewiczu wydawnictwa „Wiedza Powszechna”. Kupił je, bo kosztowały razem tylko 160 zł., ale chciałby się dowiedzieć, czy to będzie dobre. Spojrzałam na nazwisko autora: Stanisław Kolbuszewski. Zamajaczyły mi nie budzące zaufania tytuły dawnych jego prac: „Ziemski Mesjasz Narodów”, „Mickiewicz i Maryla”... W godzinę przeczytałam cienie książki. I, powiedzmy od razu, o całej sprawie nie warto byłoby wspominać, gdyby właśnie nie orta cena książki (160 zł), imponujący nakład 40.000 egzemplarzy (słownie: czterdzieści tysięcy) i typ odbiorcy, dla którego są przeznaczone wydawnictwa „Wiedza Powszechna”. Anons na okładce głosi, że: „Wydawnictwo popularno-naukowe „Wiedza Powszechna” jest potrzebne uczniom różnych szkół, zwłaszcza gimnazjów dla dorosłych, słuchaczom uniwersytetów ludowych i robotniczych, uczestnikom świetlic i kół samokształcenia, samoukiem kształcącym się indywidualnie, poza tym (...) nauczycielom wszystkich typów szkół jako niezbędną lekturę podręczną, studentom wyższych zakładów naukowych, jako lektura informacyjna, zastępująca częściowo notatki”.

Twierdziłam, że gdyby nie wymienione wyżej powody, nie warty by się zajmować tą sprawą, gdyż dla każdego zorientowanego nieco w historii literatury i badaniach literackich czytelnika książka ta jest tak dalece jaskrawym przykładem przewyżczonych już szczęśliwie, nawet w naszej polonistyce uniwersyteckiej, metod badania i interpretacji, tak „wzruszająco” naiwnym wyrazem mętnej „duchologii”, prowadzącej nieuchronnie do mętniactwa stylu, oparów mistycyzmu, a tym samym zafałszowania prawdy historycznej, że uśmiechnąć by się tylko należało (z obróbiną gorczyco (pawłowa), iż w cichych zakątkach uniwersyteckich pokutują jeszcze (bo chyba już nie prosperują) profesorowie remanenty, dla których naprawdę „czas stał się i odwrócił lica”. Nie chcę być gołosłowna. Oto formuła końcowa, mająca dać syntezę twórczości Mickiewicza: „Mickiewicz był twórcą i wodzem romantyzmu polskiego, ale z wyjątkiem na wskroś romantycznych „Dziadów”, był stale najdoskonalszym klasycyzmem w tym sensie, że posiadał umiar klasycyzmu, a w dziele jego istniała cudowna harmonia treści z formą” (II, s. 95). Znamy, znamy. Szczególnie ten refren o „cudownej harmonii treści z formą”. Ale tłumaczenie tego jest proste, skoro jako decydujący czynnik w twórczości poety przyjmujemy natchnienie, wywoływane jego osobistymi przeżyciami. O przeżyciach tych zaś wiemy z utworów, a przede wszystkim z „wniknięcia” w duszę poety. Wiemy wtedy nawet bardzo dokładnie, jak powstawały pomysły poety i czy dopisywał mu natchnienie. Tak np. „Konrad Wallenrod” został początkowo porzucony „z braku natchnienia” (I, s. 68), a co do postaci Aldony, to oto skąd się wzięła: „Spojrzeniem głębokim chciał ogarnąć rolę Maryli w swym własnym życiu, gdyż ostre słowa rzucone w „Dziadach” nie mogły być ostatnimi. Wtedy to postać historycznej Kiejstutówny zespoliła się w jego wyobraźni z postacią tej, którą kochał. W ślad za tym napłynął do poematu szereg dawniejszych reminiscencji: chłód Aldony, otoczony przez Konrada wierzbanami — to była altanka Dziadów...”) Że tworząc postać Aldony myślał o Maryli, do-wodzi nade wszystko pomysł zamknięcia się Aldony w wieży, z której wyjść nie mogła i nie chciała — była żywcem pogrzebiona dla Konrada, jak Maryla dla Mickiewicza jako cudza żona” (I, s. 76). A wiecie, co znaczą ustępy 1 i 3 I-ej części Dziadów? „Otóż ustępy 1 i 3 są szkieletowym obrazem przeżyć samego poety i Maryli przed ich poznaniem się. Związek, który by odnaleźć można między tymi ustępami a ustępem 2, nie widać” (I, s. 43).

A skąd się wzięło Widzenie ks. Piotra w III-ej części Dziadów? „Artystycznie ujęte jako objawienie księdza Piotra, w istocie było widzeniem rzeczywistym Mickiewicza...” (II, s. 27) (podkr. moje).

W istocie przy takiej metodzie proces twórczości poetyckiej nie pozostawia dla nas żadnych tajemnic. Wiemy, co w każdej chwili swego życia myślał poeta. W ten sposób można wszystko wyjaśnić. I oczywiście nie nie wyjaśnić. Bo sprawdzalność takich tez jest chyba... w niebie.

Z nieco innej niwy starych błędów, z tzw. wpływołgii. Np. „Żeglarz” to wiersz „przypominający monolog Hamleta, bo analogicznie rozważa Mickiewicz zagadnienie „być albo nie być...” (I, s. 16).

Charakterystyka tzw. przez autora „formy” utworów jest również interesująca. Oto przykłady. Chodzi o „Grażynę”. „Na tym tle dał trzy sylwetki, scharakteryzowane przy pomocy ich słów, gestów, mimiki i czynów”. Kompozycja „Pana Tadeusza”: „...składa się on z długiego szeregu obrazów większych lub mniejszych, podporządkowanych pewnej naczelnej myśli, a tworzących w sumie obraz narodu polskiego...” (II, s. 75). Doprawdy, człowiek zaczyna wzdychać do... formalistów.

I wreszcie „małe” szczegóły. błędy logiczno-językowe: „Ewolucja dokonała się więc nagle, ale w istocie bohaterem był nowy człowiek w którym tylko podziękują dawne reminiscencje” (oczywiście komentarz do „natus est Conradus”). „Część II „Dziadów” ma wyraźnie rozdzielone, choć rozmiarami niesymetryczne, dwie grupy scen”. (I, s. 51).

Przykłady z każdej dziedziny można by mnożyć. Ale lepiej streszczamy. Dwa zeszyty „Wiedzy Powszechna” o Mickiewiczu („Twórczość Mickiewicza w kraju i w Rosji”, „Twórczość Mickiewicza na emigracji”) obejmują łącznie 186 stron. Z tego ok. 110-u przypada na tzw. „wypisy”. Na marginesie warto zaznaczyć, że metoda „wypisów” czy „urywków” z większych utworów, bardzo niebezpieczna w ogóle, w wypadku takich utworów jak „Dziady” czy „Pan Tadeusz”, wydaje się wprost niedozwolona. Te utwory każdy czytelnik polski powinien znać w całości. Jak metoda ta jest niebezpieczna, okazało się dowodnie na przykładzie omawianej książeczki. Dobór wyjątków przez autora waleńnie dopomógł mu w zafałszowaniu Mickiewicza. Jeśli z IV-ej części „Dziadów” wydobywa się tylko wspomnienie domu rodzinnego, pożegnania z ukochaną i apstrofy do niej sklerowane, łatwiej będzie nie znającemu rzeczy czytelnikowi zgodzić się na komentarz, iż: „Czwartą część „Dziadów” pisał Mickiewicz dla Maryli. Chciał jej uprzytomnić ogrom swej miłości i ogrom swoich cierpień, chciał ją wzruszyć i w pewien sposób pokarać za nieodwzajemnioną miłość. W ten sposób poemat z jednej strony był wspomnieniem i skargą, z drugiej będzie rzuconą zapowiedzią śmierci poety” (I, s. 58). Gdy w III-ej części „Dziadów” decydującym punktem ciężkości będzie Widzenie ks. Piotra, łatwiej przyjemny długie rozważania na temat rozszyfrowania 44 i powiązań z Saint-Martinem (a przypominam, że na komentarz do całej twórczości Mickiewicza przypada tylko 76 stron!). Jasne jest chyba w świetle tych przykładów, że na owych 76-u stronach dominuje Mickiewicz — mistyk i kochanek Maryli. Jasne, że wśród postaci przewijających się przez biografie poety najwięcej miejsca poświęcono Oleszkiewiczowi i Towiańskiemu. O Towiańskim pisze się tymi słowami: „Andrzej Towiański (1799—1878), student uniwersytetu wileńskiego w tych czasach co Mickiewicz, potem urzędnik sądowy, właściciel rodzinnego majątku, niezwykłe uczucie i łagodnie postępujący z chłopami(!!!), poczuł w pewnym momencie, że spoczywa na nim posłannictwo nałożone przez Boga i że realizację tej misji podjął mu trzeba na terenie międzynarodowym”. (II, s. 82) I pisze się to zupełnie serio w „roku pańskim” 1946! Nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że na tych skąpych 76-u stronach znalazło się miejsce, by wspomnieć, iż wśród 11-u dukatów, które Mickiewicz dostał od matki na drogę do Wilna, jeden był z wizerunkiem Matki Boskiej... (I, s. 3).

Zapewne zbyt wiele miejsca poświęcałam przykładom z tej książeczki. Ale przypominam raz jeszcze cenę, nakład, brak podrecznika, brak innego, dostępnego na rynku popularnego opracowania całej twórczości Mickiewicza. W tym zestawieniu zabawna skąd inąd książeczka prof. Kolbuszewskiego zaczyna niepokoić. Czy nie warto by uciec rok mickiewiczowski m. in. przez wycofanie jej ze sprzedaży?

<sup>1)</sup> Henryk Szyper — Adam Mickiewicz — poeta i człowiek czynu. Zarys popularny. Warszawa 1947. Sp. Wyd. „Czytelnik”, s. 244.

Władysław Ozga

# BUDOWNICTWO SZKÓŁ WIEJSKICH \*)

**P**otrzeby w zakresie budownictwa szkolnego są olbrzymie. Według przewidywanych danych uzyskanych ze szkół przez Wydział Budownictwa Min. Oświaty na podstawie ankiety: „Inwentaryzacja budynków i lokali szkolnych” w dniu 1 listopada 1948 r. wypadło na 1 ucznia szkoły podstawowej tylko 13 m<sup>3</sup> przestrzeni szkolnej w budynkach własnych i wynajętych, gdy racjonalna forma powinna wynosić 35 m<sup>3</sup> na ucznia, a minimalna norma przewidywana w okresie planu 6-letniego dla pierwszego etapu budowy określona została na 20—22 m<sup>3</sup> na ucznia. Na podniesienie tej normy pomieszczeń szkolnych w drodze budowy nowych szkół potrzeba byłoby około 260 miliardów złotych. Oczywiście kwoty takiej w okresie planu 6-letniego nie uzyskamy. Na budownictwo szkół stopnia podstawowego będziemy mogli przeznaczyć około 53 miliardów złotych ze środków skarbowych. Jeśli doliczymy do tej sumy około 13 miliardów środków własnych samorządów, to otrzymamy kwotę 66 miliardów złotych, w granicach której będziemy mogli planować w okresie 6-letnia 1950—1955 budowę szkół. Dodatkowe zmobilizowanie środków społecznych pozwoli na uzyskanie większych wyników w dziedzinie budownictwa szkolnego. Środki te muszą być oczywiście włączone do planu.

Wielkie potrzeby lokalowe szkół wynikają również z danych opracowanych przez Biuro Statystyczne Min. Oświaty pod kierunkiem dr. Mariana Falskiego. Z danych tych wynika, że brak odpowiedniej ilości izb szkolnych utrudni podniesienie stopnia organizacyjnego, pozwalającego realizować program pełnej siedmioklasowej szkoły.

Oto w dniu 1.10.1948 r. (bieżący rok szkolny) mieliśmy 1555 szkół z liczbą dzieci od 61 do 200 posiadających 1 izbę, 3323 szkół z liczbą dzieci od 91 do 250 posiadających 2 izby, 2494 szkół z liczbą dzieci od 101 do 300 posiadających 3 izby, 756 szkół z liczbą dzieci od 201 do 400 posiadających 4 izby, 397 szkół z liczbą dzieci od 251 do 400 posiadających 5 izb.

Ta ciężka sytuacja szkolnictwa na odcinku pomieszczeń szkolnych jest wynikiem zaniedbań okresu drugiej Rzeczypospolitej w dziedzinie budownictwa szkolnego oraz ogromnych zniszczeń wojennych. Rozwiązanie wielkiego problemu budownictwa szkolnego rządy sanacyjne pozostawiły działalności T-wa Popierania Budowy Publ. Szkół Powszechnych.

W warunkach poważnych trudności lokalowych szkół podstawowych musimy upowszechnić szkoły siedmioklasowej połączone z walką o budynki szkolne na wsi, gdzie brak izb szkolnych i mieszkań dla nauczycieli odczuwa się najdotkliwiej. Braki te uniemożliwiają podnoszenie poziomu organizacyjnego szkół w tych wypadkach, gdzie jest to niezbędne ze względu na liczbę dzieci w obwodzie.

Przewidywana stopniowa przebudowa ustroju gospodarczego wsi w inny sposób komplikuje zagadnienie budownictwa szkolnego. W związku z uspołdzielaniem wsi może ulec zmianie struktura przestrzenna osiedli wiejskich. Niektóre mniejsze osiedla mogą w ogóle zniknąć. Moment ten winien być wzięty pod uwagę przy planowaniu sieci szkolnej i opracowaniu planu budownictwa szkolnego. W punkcie szkolnym niepewnym

Artykuł Wł. Ozgi jest informacyjny. Dowiemy się z niego, ile szkół podstawowych przybędzie w ciągu Planu Sześcioletniego. To może tej informacji szukać w Roczniku Statystycznym, albo w gazecie? Nie piąć się jej w pismo literackie?

Jesteśmy innego zdania. Nie mówi ona tylko o tym, co było, co jest. Mówi o tym, co będzie. Jest planem, który wyrasta w walce o oświatę i kulturę mas. Któremu mas ludowe mogą się przyrzec jako dzieło, jakie one zrealizują i dla siebie go zrealizują. Taką jest ich moc, tyle w ciągu sześciolatka ludowej demokracji osiągną.

Temu planowi przyrzec się winien uważnie świat pracowników oświatowych, działaczy i pisarzy na polu kultury i sztuki. Stoi on wobec zadań pogłębienia walki o stworzenie postępowej nauki, marksistycznej oświaty. Stoi wobec opóźnień w wypracowaniu nowych programów i podręczników, wobec przeszkalanania nauczycieli i działaczy kult.-oświatowych, wobec tworzenia literatury i sztuki dla zwycięsko wstępujących w życie narodu mas ludowych. Te sygnały są znane. Ale inaczej one brzmią, kiedy się na nie reaguje w oderwaniu od materialnej bazy kultury, od materialnych jej narzędzi działania i materialnej siły i wielkości tych narzędzi.

Sześć lat w budownictwie szkół podstawowych to wielka rewolucja w materialnym tworzywem upowszechnienia oświaty i kultury. To skok w technicznych możliwościach szerzenia oświaty, przewyższający dorobek całego ubiegłego stulecia. W stosunku do tego planu, który zrealizuje wysiłek produkcyjny klasy robotniczej i chłopów, jako swoje dzieło, jako materialne narzędzie upragnionej wiedzy i kultury, w stosunku do tego planu rozbudowy szkół muszą zostać ustawione konkretne zobowiązania świata twórców i pracowników kultury i oświaty.

REDAKCJA

da w obwodach posiadających do 80 dzieci. W obwodach z liczbą dzieci od 81 do 100 będziemy mieli z końcem planu 6-letniego szkoły o 3 nauczycielach.

Jak zamierzenia te będzie można zrealizować w oparciu o istniejące warunki lokalowe i perspektywy budownictwa szkolnego w okresie lat 1950—1955?

Zacznijmy od szkół o 2 nauczycielach. Obwodów szkolnych z liczbą uczniów do 80 — mamy zgodnie z danymi Biura Statyst. Min. Oświaty 9.713. Część tych obwodów z liczbą dzieci poniżej 20\* ) pozostanie prawdopodobnie nadal jako szkoły o 1 nauczycielu. Część szkół z liczbą uczniów do 80 ulegnie komasacji (4—5%). Po odliczeniu tych dwóch grup szkół otrzymamy około 9.000 obwodów szkolnych o 2 nauczycielach, którym trzeba zapewnić warunki lokalowe. Ponieważ według danych Biura Badań i Statystyki w roku szkolnym 1948/49 2087 szkół z liczbą dzieci nie przekraczającą 80 miały już po 2 lub nawet więcej izb, przeto pozostaje około 7.000 obwodów szkół o 2 nauczycielach, które weźmiemy w rachubę przy planowaniu budowy szkół.

Plan sieci szkolnej a w szczególności plan budowy szkół musi być budowany oddolnie przy uwzględnieniu różnorodnych i specyficznych warunków terenowych. Zrozumiałym jest, że Ministerstwo Oświaty nie może dysponować szczegółowym materiałem, odnoszącym się do warunków lokalnych dwudziestu kilku tysięcy szkół i uwzględniającym również możliwości wynajęcia pomieszczeń na izby lekcyjne i mieszkania nauczycieli. Dlatego w pierwszej fazie ogólnego budowy planu posługujemy się przewidywaniami

dynków tego typu przy założeniu, że będzie to pierwszy etap budowy.

Koszt takiego budynku wyniesie około 4 — 5 mil. zł. Zakładam, że 1/3 kosztów budowy, częściowo w naturze (część robocizny, zwózka materiałów itp.) częściowo w gotówce pokryje gromada lub gmina. Państwo (Min. Oświaty) dąłoby więc na każdą nowo-budującą się szkołę o 2 nauczycielach 3 mil. zł. W skali ogólnokrajowej potrzeba będzie na ten cel 12 miliardów zł. z kredytów państwowych.

Szkół o 3 nauczycielach (obwody z liczbą dzieci 81—100) będziemy mieli 2037\*). Około 100 szkół tego typu powinno ulec komasacji, 225 szkół posiada już 3 izby. Pozostaje zatem około 1800 szkół o 3 nauczycielach, które w chwili obecnej nie mają 3 izb. Można założyć, że 800 obwodów upora się z trudnościami lokalnymi we własnym zakresie, w drodze wynajmu, remontów adaptacyjnych, dobudowy jednej lub dwu izb do istniejących. Założenie to opieram i na tym, że 1491 obwodów o 3 nauczycielach posiada już 2 izby\*\*). Potrzeba w rezultacie wybudować 1000 szkół o 3 nauczycielach.

Kubatura budynku takiej szkoły wyniesie przeciętnie 1.200 m<sup>3</sup>. Koszt 6 milionów złotych. Państwo da z kredytów skarbowych 4 miliony złotych, środki własne gromad lub gminy wyniosą około 2 milionów złotych. W skali ogólnokrajowej wydamy z kredytów skarbowych w okresie planu sześciolatnego na budowę szkół o 3 nauczycielach około 4 miliardów złotych.

Szkół o 4 nauczycielach (obwody 101—150 dzieci) będziemy mieli 3358\*\*\*). W bieżącym roku szkolnym posiadamy już w 213\*\*\*) tego typu szkołach (obwodach) po 4 lub nawet więcej izb szkolnych, w 1444\*\*\*) obwodach po 3 izby oraz w 1548 obwodach po 2 izby, a tylko w 153 obwodach po 1 izb. Można przyjąć, że w szkołach o 4 nauczycielach posiadających 3 izby problem lokalowy nie nastęczy specjalnych trudności. W najgorszym razie, w wypadku niemożliwości donajęcia izby, trzeba będzie pójść na naukę po południową (w bardziej zwartych osiedlach). Szkoły posiadające 2 izby częściowo winny pójść po drodze wynajmu, częściowo po drodze nowej budowy. W olbrzymiej większości obwodów szkół o 4 nauczycielach, posiadających tylko jedną izbę i prawdopodobnie z powodu trudności wynajęcia dodatkowych izb tylko 1 nauczyciela, trzeba będzie wybudować nowe szkoły. Szacunkowo przyjmuję, że w obwodach szkół o liczbie dzieci 101 do 150 musimy wybudować 700 szkół. Koszt budowy takiej szkoły wyniesie około 7 milionów złotych. Można przyjąć, że ogólny koszt budowy szkół o 4 nauczycielach w skali całego kraju wyniesie 5 miliardów, z czego samorząd oraz ludność pokryje w naturze i otwórze 2 miliardy. Z planu inwestycyjnego Ministerstwa Oświaty damy na ten cel 3 miliardy. Zagadnienie szacunku środków własnych omówię z pewnością koledy na sekcji budownictwa szkolnego.

Szkoły o 5, 6 i więcej nauczycielach w okresie planu 6-letniego nie będą mogły być w szerszych rozmiarach budowane. Przy zwiększeniu liczby nauczycieli w tych szkołach trzeba będzie posługiwać się izbami wynajętymi, stosowaniem nauki na 2 zmiany (w niektórych izbach). Niemniej jednak nie możemy zrezygnować z budowy szkół najwyższego stopnia organizacyjnego. Z kredytów skarbowych przeznaczamy na budowę tych szkół 11 miliardów złotych. Ze środków własnych samorządów powinno pójść na ten cel około 1,5 miliarda złotych. Kwoty te pozwolą nam na wybudowanie według norm kubatury pierwszego etapu około 330 nowych szkół o liczbie 300 dzieci każda.

\*) Dane Biura Badań i Statyst. Min. Ośw.

\*\*) ibidem.

\*\*\*) Dane Biura Badań i Statyst. Min. Ośw.

Szkoły wysokozorganizowane budowane będą również w nowych osiedlach w związku z uprzemysłowieniem kraju.

W osiedlach tych przewidujemy budowę około 250 szkół o 7 i więcej nauczycielach. Przy budowie szkół w nowych osiedlach przy-fabrycznych będziemy zezwalali w pewnych wypadkach na podniesienie przeciętnej normy kubatury na jednego ucznia ponad 22m<sup>3</sup>. Na budowę tych szkół przeznaczamy w okresie planu 6-letniego kredyt w wysokości 11 miliardów złotych.

Potrzeby budownictwa szkolnego w spółdzielniach produkcyjnych na wsi muszą być również wzięte pod uwagę przy opracowaniu planu 6-letniego ze względu na społeczno-polityczną i ekonomiczną wagę zagadnienia. Oczywiście potrzeby tych spółdzielni odnośnie budowy szkół będą uwzględniane przy opracowaniu sieci szkół o 2, 3 czy więcej nauczycielach. Ministerstwo przeznacza mimo to na ten cel specjalny, dodatkowy kredyt w wysokości 3 miliardów złotych.

Dalszą poważną troską Ministerstwa Oświaty są rozpoczęte budowy szkół, których nie kończy się z powodu braku kredytów. Zwykłość inicjatywy społecznej, wpływająca nieraz z najlepszej woli, nie ujęta w ramy planowej działalności, doprowadziła do rozpoczęcia wielu budowl, których nie ma za co kończyć. Nie posiadamy w Ministerstwie nawet dokładnych danych o tego rodzaju budowach. W okresie lat 1950 — 1955 trzeba będzie to zagadnienie zlikwidować, ująć w ramy planu i rozpocząć budynki wykończyć, ograniczając ich rozmiary do minimum. Na ten cel Ministerstwo Oświaty przeznaczy poważną kwotę — 3 miliardy złotych.

Budownictwo oświatowe jest tak spopularyzowane w społeczeństwie, że inicjatywa oddolna potrafiłaby wyzwolić duże środki materialne w postaci bezpłatnej robocizny, szarwarków, składek pieniężnych, dobrowolnego opodatkowania się. Z tego rodzaju pozytywnej inicjatywy rezygnować nie należy, zwłaszcza bezpłatna robocizna pozwoli na obniżenie kosztów ogólnych budowy. Trzeba sobie jednak uświadomić w tej sprawie, że nasze plany w dziedzinie budownictwa uwarunkowane są nie tylko pokryciem finansowym, ale również limitami materiałowymi. W okresie planu 6-letniego mogą wystąpić deficyty niektórych materiałów budowlanych, jak stal, drzewo, blacha, papa.

Produkcja materiałów budowlanych będzie więc limitować rozmiary budownictwa w planie sześciolatnim.

W tych warunkach wskazanym jest wyzyskanie na budownictwo szkolne również miejscowych rezerw surowcowych.

Pozostają do omówienia jeszcze potrzeby budowlane szkół skomasowanych oraz szkół zbiorczych. Komasacja szkół ma służyć podniesieniu stopnia organizacyjnego, a więc należy zrobić maksymalny wysiłek, aby uzyskać tu poważniejsze rezultaty. Zgodnie jednak z przewidywaniami, akcja komasacji nie zakończy szerszych kręgów.

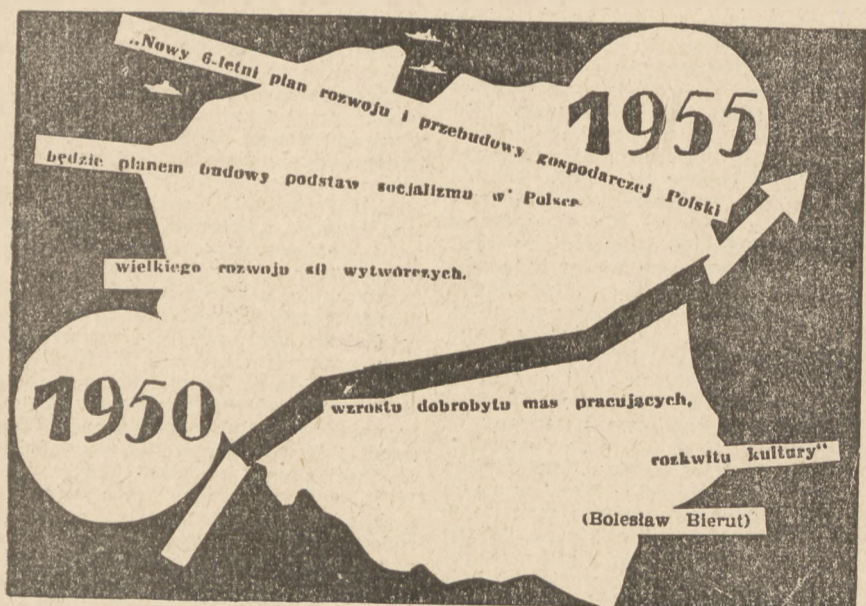
Na nowe budynki szkół skomasowanych Ministerstwo Oświaty przeznaczy około 2 miliardów zł.

Zagadnienie zbiorczości dotyczy będzie przy końcu planu 6-letniego głównie szkół o 2 nauczycielach, które realizować będą program 6 klas szkoły siedmioklasowej. W obwodach szkolnych do 80 dzieci jest w bieżącym roku szkolnym około 466.000 dzieci\*), na 1 rocznik obowiązku szkolnego, kończący klasę szóstą wypadnie w r. 1955 więcej niż 70.000 dzieci, które powinny kończyć klasę siódmą w tzw. szkole zbiorczej. Szkołą zbiorczą może być dla tych dzieci każda szkoła o 3 i więcej nauczycielach. Ponieważ sieć szkół realizujących program szkoły siedmioklasowej znacznie się zagęści, przeto poważna część dzieci w promieniu 4 kilometrów znajdzie szkołę z klasą siódmą. Szkół o 3 i więcej nauczycielach będziemy mieli na wsi około 10.000, przeto teoretycznie biorąc, na 1 szkołę wypadnie do 7 uczniów ze szkoły o 2 nauczycielach. Praktycznie w terenie liczba uczniów dochodzących do 7 klasy szkoły zbiorczej nie będzie przekraczała 7 — 12 uczniów. Dzieci te pochłonięte zostaną bez większych trudności przez szkoły o 3 i więcej nauczycielach. Na odcinku budowy szkół zagadnienie to nie wystąpi silnie i należy rozwiązać je zasadniczo w ramach normalnej budowy szkół o 3, 4 i więcej nauczycielach.

\*) Szacunek na podstawie materiałów Biura Badań i Statyst. Min. Ośw.

W NUMERZE 26(205) TYGODNIKA „WIEŚ” z dnia 26 czerwca 1949 r.

Władysław Kowalski — Doły i góry; N. Brodzki — Puszcza i twórczość ludowa; Konstanty Grzybowski — Mityfikacje liberalizmu; Antoni Korzycki — Przed zjednoczeniem ruchu ludowego; Eugeniusz Frankowski — Etnografia radziecka; Jerzy Miller — Plony, Ulica Kątna w Łodzi; Historia uczy (w ósmą rocznicę agresji hitlerowskiej na ZSRR); Irena Drozdowicz-Jurgielewiczowa — O literaturze pierwszego poziomu; Tadeusz Orlewicz — Kapitalistyczna zмова; Józef Ozga-Michalski — Ideologia młodzieży wiejskiej; Ludwik Łakomy — Muzeum Ludowe na Łysej Górze; Marianna Koscińska — List; Mateusz Siuchniński — Powieść historyczna?; Kazimierz Andrzejewski — Owoc nie tego czasu; Antoni Krupa — O powiązanie nauki z pracą; Fakty i zdania, 17 ilustracji, 12 stron.



z powodu przewidywanej przebudowy osiedli należy stosować budownictwo szkolne za-stępcze, najtańsze i przy najniższym standardzie budowlanym.

Upowszechnienie szkół siedmioklasowej wiąże się więc nierozdzielnie z racjonalnie opracowanym planem budownictwa szkolnego.

Dyr. Grabowski i dyr. Falski przedstawili w swych referatach koncepcje organizacji szkolnictwa, zmierzającą do objęcia już w okresie planu sześciolatniego wszystkich dzieci w Polsce siecią szkół realizujących program siedmioklasowej szkoły.

Szkoły o 2 nauczycielach organizowane będą

mi i założeniami teoretycznymi, kierując się w pierwszym rzędzie możliwościami finansowymi, które znamy.

Uwzględniając powyższe zastrzeżenia zakładam, że w 3000 obwodów szkół o 2 nauczycielach, posiadających już zresztą 1 izbę będzie można rozwiązać sprawę w drodze donajęcia drugiej izby, remontu adaptacyjnego, bądź prowizorycznej dobudowy izby do już istniejącej itp. Pozostaje więc 4.000 obwodów, w których musimy wybudować nowe szkoły.

W dążeniu do zaspokojenia potrzeb lokalowych możliwie największej liczby szkół opracowaliśmy w Ministerstwie najskromniejsze standardy dla szkół o 2 nauczycielach. W oparciu o te standardy Wydział Budownictwa sporządził szkieletowe projekty bu-

\*) Według danych Biura Badań i Statyst. Min. Ośw. w dn 1. 10. 1948 mieliśmy takich obwodów 238 z liczbą 4151 dzieci.

\*) Fragment referatu wygłoszonego na Ogólnopolskim Zjeździe Inspektorów Szkolnych (w dn. 25—29.V.49). Referat stanowi część zbiorowej pracy poświęconej Zjazdowi, a przygotowanej do druku.



Józefa Witowska

Ilustr. Hanna Orzechowska

# PAMIĘTNIK SŁUŻĄCEJ



## PIERWSZE DOŚWIADCZENIA

Snutne w życiu doświadczenia pchnęły mnie do napisania i dzielenia się z innymi losem robotnika małopolskiego i losem ich dzieci. Moje rodzinne strony były zamieszkałe przeważnie przez Niemców. W mieście, czku mieszkali bogaci kapitaliści, zajmowali się tkactwem. U tych to bogatych Niemców tkacze-chałupnicy głodowali. Majstrowie płacili skąpo. Anemiczni tkacze, również ich dzieci z nóżkami pokrzywionymi od chorób, mieli ciężkie warunki. Izby ciasne, okna zastawione krosnami, zaduch farb i „slichty” przepędzał mieszkanie.

Dzieci od lat najmłodszych siedziały lub stały przy kółkach czy kołowrotkach — starsze nad „trajbowaniem”, młodsze nad szpulowaniem. Pożywienie tkackich rodzin składało się przeważnie z czarnej gorzkiej kawy i kartofli zamiast chleba. Mleko kupowali tylko odciganne i to nie codziennie, bo tkaczy nie było stać. Za to majstrowie mieli brzuchy do nosa, a rodziny wysyłali do zagranicznych wód. A dzieci chałupnika zabierała gruźlica.

Nie lepiej się działo we wsi, skąd mój ojciec był rodem, jako syn wdowy na półtoręj morderze ziemi z pięciorgiem dzieci. Starsze chodzili na pańskie lub do Niemców, którzy wyzyskiwali pracę robotnika. Robić musieli od wschodu słońca aż do zachodu. W lecie żywili się prawie lebiadą i pokrzywami. Dzieci miały brzuski zielone jak kaczęta. Ale tej lebiody darmo Niemcy nie dali — trzeba było pół dnia odrobić, nie dość że im oczyszczono pole z chwastu.

Ojcu mojemu sprzykrzyło się służyć na wsi, toteż się przeniósł do miasta, oddalonego czternaście kilometrów. I tu nie lepiej miał, pracując także u bogatych Niemców. Ja również pracowałam, odkąd pamiętam. Dzieciństwa nie znałam uśmiechniętego. Moja zabawa to było „kółko” do „trajbowania”. Jako małe dziecko już musiałam zaraabiać. Nie było wyrozumienia nawet u rodziców, skoro mnie, dziecko może pięcioletnie, dali na służbę na wieś w ojca strony i do tego samego Niemca, u którego ojciec miał pierwszą służbę. Czternaście kilometrów drepaliśmy wówczas po śniegu z babcią. Wieczorem zaszyliśmy. Płakałam, gdy babcia szła do domu. Na mnie nawet nie spojrziała. Lłczyłam wtedy godziny, ile ich jestem oddalona od domu. Po paru dniach tęsknota przemogła, postanowiłam uciec.

Tak też zrobiłam. Droga prowadziła do babci przez las. Śnieg zawiązał wszystko, toteż nie dziwnego, że w lasu zginełam. Na szczęście ujrzałam światelko, wówczas weszłam zbiegnięta do chatki. Wielkie zdziwienie okazała kobieta, widząc obcą dziewczynkę w proggu. Gdy się ogrzałam, zaprowadziła mnie do babki. Babka była niechętna mej ucieczce, toteż z gniewem odprowadziła mnie do domu. Mama na mój widok także powiedziała:

— No, z niej to służbista, jak z koziego roga trąbka.

Później ojciec robił w browarze. Właściciel browaru był jednocześnie dziedzicem. Ten bił robotnika za lada przewinienie. Chodził stale z psem i kijem, o czwartej budził służbę do roboty. Bali się go wszyscy. Każdy robotnik musiał go całować w rękę na dzień dobry — nie tylko mężczyźni, ale i kobiety, niosące mężom jedzenie. Gdy która udała, że tej wyciążniętej łapy nie widzi, wtedy doszedł, wałną kijem przez plecy i ryknął: — Co, mordę ci zapieczętowano, czyś oślepa?

Unikały go kobiety, ale on stał umyślnie w przejściu, by go żadna nie minęła. Całowała go moja matka, całowałam go też jako dziecko. Zrobił łaskę, że mnie raz łapa, którą bił robotników, pogłaskał po głowie. Dziedziczka też biła służbę, w złości szarpała za włosy i tłukła o drzwi lub ścianę. Pewnego razu mój ojciec przyprowadził taką zbitą i skrawioną pokójówką, która u nas nocowała. Pamiętam, że mówili: — Tam psa szkoda dobrego.

Dziedzic pobił także mojego ojca i wymagał, by go przeprosił. Wyciągając rękę w stronę ojca krzychał: — Przeproś i do roboty. Ale ojciec był na tyle ambitny, że nie przeprosił, wolał zostać bez roboty. Było nam wtedy ciężko. Matka ojcu wymyślała i namawiała go, by szedł dziedzica przeprosić, sam dziedzic przysyłał. Ojciec jednak nie poszedł, choć mu nie wypłacono należności. Był wtedy ojciec bez pracy, w domu bieda, dzieci małe. Najmłodsze mama poila tylko wodą ze sacharyna. Nic dziwnego, że dziecko zamiast rósł to schło i do trzech lat nie chodziło. Sam ojciec był też warty, ciężko robić nie mógł, więc oberwał się przy budowie kościoła i po długiej chorobie umarł na gruźlicę. Matka została wdową z trojgiem dzieci, a czwarte było w drodze. Wkrótce po śmierci ojca i matka zachorowała. Coś dzwignęła i nastąpił poród przedwczesny, dostała więc krwotoku. My, dzieci małe, nie wiedzieliśmy co robić. Dopiero, kiedy matka straciła przytomność, wezwaliśmy sąsiadki Żydówki. Te dopiero sprowadziły lekarza, który odebrał poród i doprowadził wszystko do porządku.

Długo potem mama leżała. Wtedy ciężko było żyć. Umarł dozorca. Wówczas ja wzięłam z radością dozorstwo. Zamiatanie szło mi niezłe, gorzej było odmiatać śnieg na ulicy. Odmiatałam, często mając przymarznąętą świeczkę u nosa, ale najgorzej było odrąbywać rynsztok. Siekiera ciężka, ręce mi popękały. Miałam siedem lat. Przyszli mi w pomoc sąsiedzi, litując się nad dzieckiem, odrąbali mi głęboko, by na dłużej starczyło.

Był to jednak mały zarobek. Nosiliśmy więc lokatorom wodę po pół wiadra. Musiałam parę razy obracać, nim nanosiłam całą stągiew. Zimą paliłam sąsiadom w piecach. Dostałam za to dla chorej mamy placka, cukru, soku, kompotu, ciastek. Pod koniec zimy mama mogła już robić. W lecie chodziliśmy do lasu po drzewo, na grzyby, jagody.

## ROZRUCHY

Pamiętam, kiedy jeszcze ojciec żył, przyjechała ojca siostra z Łodzi i przywiozła coś bardzo ciężkiego. Ojciec to wyniósł na strych. Później przychodzili różni ojca znajomi i potrochu wynosili. Były to różne gazetki, broszury, piosenki. Tego nie było wolno rozpowszechniać, za to była kara. Wieczorem często przychodzili do nas znajomi, czytali, śpiewali te piosenki. Śpiewałam z nimi:

Na barykady ludu roboczy!  
Musiało być źle dla robotników. Kiedyś ojciec powiedział swej siostrze:

— Masz odwagę, Teofilko, tak śmiało tyle gazet przewozić?

— Czy mam odwagę? Ty bracie nie wiesz, ile ludzi cierpi w Łodzi głód i poniewierkę.

Ojciec wiedział, bo i u nas było to samo. Kawę piliśmy zawsze czarną i gorzką, a herbatę z sacharyna. Umarła siostra trzyletnia, ojciec nie robił, nie było jej za co pochować. Ksiądz i organista kazali sobie zapłacić. Nie tylko u nas tak było — prawie w całym miasteczku, składającym się przeważnie z wębrow. Ja jeszcze nie rozumiałam tego wszystkiego, choć po swojemu służyłam sprawie. Często mnie ubrali w piosenki lub jakie odezwy i tak z tym chodziłam i spałam za koszulą. Była czasem rewizja, ale ja nie doceniałam, co noszę, więc chodziłam bez troski nawet między żandarmami.



Raz późno wieczorem słycał syrenę. Ojciec już spał, byliśmy przekonani, że to pożar. Bardzo wtedy bałam się ognia. Ojciec wyszedł na ulicę, wrócił i powiada:

— Gdzieś daleko musi się palić, nie widać łuny — i poszedł spać. Dopiero rano dowiedzieliśmy się, co było. Młodzież szkolna zaczęła śpiewać zakazane piosenki, zgromadził się tłum, ruszyło wojsko i zaczęło strzelać do tłumu. Dużo ludzi było zabitych i rannych. Syn naszego gospodarza umarł z upływu krwi — młody uczeń. Było to w okresie Bożego Narodzenia. Pogrzeb się odbył skromnie. Prócz rodziny nikt więcej iść nie mógł, zaraz żandarmi strzelali.

Pewnego razu jakiś „szpicel” wydał moją ciocię, gdy przywiozła gazety. Na szczęście nic nie znaleźli, a ciocia jakoś uciekła i pieczęć poszła do Łodzi. Niedługo potem mój ojciec umarł. Rewizję nawet po ojca śmier-

ci nie ustąpi, nawet w sąsiednim domu. Mieszkał tam Żyd, pan Fuks; ten dowiedział się od swojej służącej, że ja mam przy sobie różne pisma. Zawołał mnie do siebie i on również mi dawał jakieś pisane bloczki i druk, a nawet pieniądze na przechowanie. Chodziłam wtedy na spacer z jego córeczką, obładowana pismami jak kasa... Ci państwo wkrótce wyprowadzili się do Kalisza. U nas także pomału ruch ustał. A szkoda — żałowałam. — Lubiałam takie gorące czasy, pełne nadziei, ognia, pieśni. Do dziś mnie wzrusza piosenka — mego dzieciństwa — pieśń buntu:

Na barykady ludu roboczy

Albo:

Krew naszą długo leją kawy  
i płyną ludu gorzkie łzy...

Płynęły wtedy często i moje, jak o tym w następnych wspomnieniach.

## W BROWARZE

Pewnego razu przyszła stręczarka, że jest potrzebna nianka do browaru. Wiedzieliśmy, czym we dworze pachniało. Ale stręczarka zapewniała, że tylko stara matka biła. Córka jest inna. Poszłam tedy z mamą na zgodę do dworu. Ciekawiło mnie tylko zobaczyć te wielkie pokoje. Sam widok dziedziczki sprawiał wielki podziw... Zgodzono mnie i zaraz zostawiono. Najmłodsze dziecko jeszcze nie chodziło — tuście, ciężkie. Trzeba było dobrze uważać. Tutaj lepiej by się nadawała starsza kobieta za nianę. Przecież ja nie umiałam jeszcze dziecku uprać, co nianę jest obowiązkowe. Dziecko rozkapryśzone,



cierpiałam tam wiele i tych popychań i uderzeń o lada przewinienie doznałam mnóstwo. Życia też nie było. Rano dano mi kufel piwa i bułkę. Musiało to starczyć do obiadu. Obiad w kuchni był już przygotowany — miała porcyjka — więcej bym zjadła.

Po południu, kiedy dziecko spało, prałam pieluszki i dziecinną bieliznę, albo prasowałam. W tej czynności nie mogłam pani dogodzić. Wymyślała mi ciagle. Do domu szłam spać o dziesiątej. Przed odejściem dano mi kolację — tak samo, jak rano: kufel piwa i kawałek chleba. Na szczęście w domu zjadłam kolację.

Pewnego razu dziecko zachorowało. Odbiło się to na moich plecach, że źle pilnuję i dziecko chore. Wtedy to skoczyła do mnie, tak mnie zbiła, wyszczypała, że posiniaczona i pokrwawiona poszłam do domu i więcej nie wróciłam. Córka w niczym nie różniła się od matki, tak samo biła służącą. Tylko kiedy dziewczynny odeszły i nie dopomniły się o zasługę, robiła się uczciwą i dobroczynną — odsyłała pieniądze na kościół — połowę na ewangelicki, połowę na katolicki. Składała ofiarę z ciężko zapracowanych groszy robotnic.

## U WDOWY PO MAJORZE

Po wyjeździe z Warszawy dostałam się do pewnej wdowy, która mnie bardzo dawno pragnęła do siebie przyjąć. Pani Orowska była z bardzo pobożnej rodziny. Miała trzech księży w rodzie: stryja, wujka i brata. Wychowana była u stryja. Na ogół wyglądała jak cnota chodząca i wszystkim dobrze życząca.

— No, nareszcie dostałam Marysię, o którą tyle lat Boga prosiłam. Teraz wezmę uczni na stancję Będziemy żyć jak rodzina.

Pani Orowska bardzo ubolewała, że Bóg ją tak doświadczył, zabierając jej męża, co prawda, hulakę i karciarza. Bez niego właściwie było jej żnośnie, mimo czworga dzieci. Dostawała emeryturę, ksiądz przysyłał co miesiąc, potem syna starszego zabrał do Warszawy, płacił mu mieszkanie i szkołę, następnie politechnikę. Pani Orowska tylko się modliła i zgadzała z wolą bożą.

Ta święta pani uczeń po prostu głodziła. Wzięła ich szczęściu, przeważnie ziemiańskich synów. Za to bardzo przestrzegająca, by po każdym posiłku się żegnali i regularnie mówili pacierz. Mnie podług umowy obiecała pokój, lecz jeszcze był zajęty na spizarnię, więc spałam w kuchni. Najwięcej ją bolało, jak ktoś do mnie przyszedł i ja poczęstowałam gością. Przecież to nie było z jej spizarni, kupiłam. Ale mi dawała do zrozumienia, że jestem zbyt hojna. Często z kredensu zgrynęła bułkę, widocznie chłopcy, a może i córki ściągęły. Kiedy ja gotowałam obiad,

właśnieza gdy miałam mięso — pani Orowska weszła uśmiechnięta do kuchni:

— Marysio kochana, będe tu sobie szyła. Bardzo mi miło gawędzić z Marysią. Marysia taka mądra i wyrozumiała.

— Ale z boku spogląda, jak ja robię.

— Ile też Marysi wyszło kotlecików? Starczy aby na kolację? Malutkie proszę robić, będą podzielnniejsze.

Kiedy indziej znowuż, kiedy w czasie obładu kroiliam mięso rosółowe lub klops, wpadła, pod jakim pozorem, na przykład po sól, do kuchni i znowuż:

— Marysio kochana, małe, małe kawałeczki — i patrzyła, jak kroję. Bała się, bym nie zjadła kawałka. Po obiedzie wpadała rozpromieniona do kuchni:

— Marysio kochana, brakło mięsa dla Marysi, tak chłopcom smakowało.

Albo:  
— Żeby tak Marysia nie zjadła swego kotlecika, starczyłoby dla chłopców na kolację. — Kiedy indziej: O, Marysio, brakło mięsa. Co będzie?

— Co ma być, nie będę jeść.

— O jaka Marysia kochana i wyrozumiała! — obejmowała mnie i całowała w głowę. Sama bym nie zjadła, ale siedzę przy stole, więc muszę dawać przykład...

Na kolację brakło też pieczywa dla mnie. A przecież chłopcy też by zjedli więcej, stanowczo mieli za mało jedzenia. Córki chodziły wiecznie głodne. Starsza Haneczka z matką się kłóciła, że skretu kieszek dostanie. Była niepoń, urządziła randki ku zgorszeniu mamusi, która znalazła wytłumaczenie, że dzisiaj tak świat chowa dzieci.

Uczniowie pomału zaczęli się usuwać i tak po jednym ubywało, aż zostało dwóch. Wtedy pani majorowa oczy wznosiła w niebo i wzdychała:

— Bóg dał, Bóg wzięł...

Nie podobało mi się to miejsce, ale nie lubiłam się kręcić. Aż tu w połowie października pani Orowska przychodzi do kuchni jak zwykle z robótką, słodko uśmiechnięta i zaczyna słowami niemal ewangelicznymi:

— Jak to różnymi drogami Pan Bóg człowieka prowadzi. Daje mu jedno, odbiera drugie. Tak samo i mnie. Marysio od tylu lat pragnęłam. Skoro dostałam — uczniowie mi uciekają. Więc zmuszona jestem Marysio od pierwszego listopada odprawić, a wziąć sobie małą dziewczynkę. Dam Marysi bardzo dobre świadectwo.

Dziękuję za dwumiesięczne świadectwo... O to miejsce nie dbałam, ale w listopadzie najtrudniej było o służbę. Trzeba było iść do domu ojczymowi na oczy. Pani Orowska nie chciała mnie nawet zameldować do Ubezpieczalni. Przede mną jeszcze odeszli ostatni uczniowie.

— Zagłodziłaby nas ta baba — rzekli mi przy pożegnaniu.

Ostatniego października pani majorowa kazała kupić pieczywa tylko dla siebie i córki, ale bardzo mało. Wieczorem wypłaciła mi pensję, wręczyła świadectwo, ucałowała mnie po judaszowsku. Rano dzień Wszystkich Świętych. Wstałam, wzięłam się do sprzątnięcia. Majorowa zrywa się z łóżka:

— Marysio, proszę położyć szcztotki. Od dziś Marysia wolna.

— Ja wiem, że jestem wolna, ale pani posprzątam, nim pójdę do kościoła.

— O nie! Śniadania przecież dla Marysi nie mam, proszę już przestać robić.

— Mnie się o jedzenie nie rozchodzi, a jak mi się będzie chciało jeść, to sobie kupię.

— No, chyba że tak, bo ja już dla Marysi nie przewidziałam.

Czy to sknerstwo zgadzało się z jej pobożnością? Zostałam tedy bez domu, bo jak tu iść do ojczyma. Dzień spędzałam na poszukiwaniu pracy, spiałam jednak chodząc do pani majorowej parę nocy. Stanowczo mi zabroniła. Ona nie może patrzeć, że ja może chodzę głodna.

## DWA CZYŚĆCE

W domu byłam parę tygodni, ale mamie było trudniej, szczególnie zimą. Bielizna schła długo, odpusty, na które jeździliśmy z cukierkami, zamarły. Toteż postanowiono



mnie dać na służbę. Trafiała się do urzędnika powiatowego. — Może będzie dobrze, pani bardzo pobożna, pan także.

Poszłam i cóż się okazało po paru dniach? Pani przy swej pobożności mnie głodziła, tyle dała, aby żyć. Nie dość, że była skąpa, ale do kawy, zup dolewała mi wody. Chleba dostawałam tylko ogryzki po dzieciach. Zbierała kawalki, polała wodą, ostudziła trochę, podała jak psu. Byłam bardzo wygłodzona, zjadałam to z apetytem. Ale gdy pani prosiła większe figury miasteczkowe — księdza lub nauczyciela, wtedy wszystko było na podwieczorku. Pani była na tyle bezczelna, że nawet nie dała mi nic spróbować. Wtedy to bawiłam w drugim pokoju dzieci, by goście mieli spokój. Kiedy zmywałam po nich naczynia, byłam tak głodna, że raża bym liczyć talerzyki od kremów lub galarettek.

Pani ta, gdy zobaczyła u mnie w ręce książeczkę z bajkami, wyrwała mi ją z gniewem, że to nie dla mnie zajęcie. Albo gdy grała na fortepianie i stanęłam przy klawiaturze, odepchnęła mnie od niej. Nie pozwoliła mi także rozmawiać z koleżanką, która służyła w żydowskiej rodzinie. Służąca nie u Polaaków to było dla niej coś nieczłowieczego, choć przekonałam się, że u Żydów na przykład było znośniej.

Moja pani budziła mnie wcześniej rano sprzątać. Wtedy to usiadła sobie na fotelu, patrząc pilnie, jak robię. Jak mogłam robić dziewczynka dziewięcioletnia? Gdy jej się nie podobało, złapała ścierkę od kurzu, trzepała mi po głowie lub ciągnęła za włosy i głowę potrząsała na wszystkie strony. Z pracy i głodu zachorowałam na anemię, wzięto mnie do szpitala, tam byłam parę tygodni. Mimo swej

gorliwej pobożności, pani Grodzicka nie raczyła mnie ani razu odwiedzić.

Po wyjściu ze szpitala przebywałam jakiś czas w domu i „trajbowałam”. I znowu poszłam na służbę do bogatego Niemca tkacza. Ten Niemiec był majstrem, miał dużo czeladników chałupników z miasteczka i bliskich wiosek, posiadał własny dom. Tu trzeba było omiatać, bo dozorczy nie trzymali — myć sześć podłóg białych, bo przychodzili czeladnicy z płóciennymi i po osnowie, to zabrudzili. Nie było wyrozumienia, że jestem młoda. Życie było dobre, ale praca ciężka na moje siły. Spać chodziłam do domu, ale nie pozwolił mi iść wcześniej, niż o dziesiątej. Musiałam pierze drzeć. Wyznaczono mi garnek na wieczór. Nie mogłam tego skończyć, choć siedziałam dłużej. Gdy nie skończyłam, to rano pani mi wymyślała, że nie jestem warta płacy. — Nic z ciebie nie ma pociechy.

Jej dzieci starsze były ode mnie, to chodzili do szkoły i spać wcześniej. Jeszcze nie zdążyło które stęknąć, już był lekarz. A ja miałam odmrożone nogi, gdyż chodziłam w „klapkach” drewnianych bez osłony pięt. Ręce były zawsze mokre, popękane. Plakałam przy tych piórkach wieczorem, ale dola służącej nie była wyrozumiała. Służąca to tylko siła robocza, ma placone i musi pracować. A ta płać była tak mała w małym miasteczku. Podłogi myłam przeważnie w zimnej wodzie. W mniemaniu państwa były przez to ładniejsze. Wylewać trzeba było na podwórko, śnieg tam obmiałac i na ulicy, lód rąbać pod studnią. Tak mocno przeziębiam ręce, że zrobiły się palce nieczułe. I znowu mnie czekał szpital, gdzie przeleżałam pięć tygodni. Mimo że pani była protestantka, odwiedzała mnie co tydzień i chciała, bym przyszła z powrotem do roboty.

Józefa Witowska

Stanisław Cieślak

## U progu pierwszej sześciolatki w rolnictwie

Planowanie gospodarcze polega nie tylko na stawianiu określonych zadań produkcyjnych i ustalaniu terminów, w których te zadania będą wykonane, ale również na wyborze środków, których użycie zapewni i gwarantuje wykonanie planu. Istotnym niemniej elementem planowania jest stworzenie sprawnie działającego systemu bieżącej kontroli wykonania planu oraz zabezpieczenie środków działania zapewniających skuteczną interwencję w wypadku załamania się planu.

Jesteśmy obecnie na etapie wszechstronnych przygotowań do Planu 6-letniego (1950—1955) i zakończenia Planu 3-letniego (1947—1949). Po uchwaleniu w grudniu 1948 roku przez Pierwszy Kongres PZPR podstawowych wytycznych do Planu 6-letniego, po uchwale Rady Ministrów z 30 maja 1949 r., która stanowi bardziej szczegółowe rozwiniecie wytycznych przejętych na Kongresie, poszczególne Ministerstwa przystępują do ostatecznego opracowania w swoich dziedzinach planów szczegółowych uwzględniających każdy, im podległy, warsztat pracy.

Zakończenie Planu 3-letniego i rozpoczęcie nowego Planu 6-letniego stawia przed nami nie tylko nowe zadania produkcyjne, ale wymaga również stałego pogłębiania i ulepszania całego naszego systemu i aparatu planowania.

Pod tym względem istnieją wielkie nierównomierności pomiędzy różnymi działami gospodarki narodowej. O ile przemysł jest stosunkowo najbardziej zaawansowany pod względem planowania, o tyle inne działy gospodarki narodowej, jak również dziedzina usług niematerialnych (kultura, oświata, ochrona zdrowia, opieka społeczna itp.) stoją jeszcze znacznie w tyle. Specjalnie opóźnione są: rolnictwo, handel wewnętrzny, komunikacja, budownictwo, które dopiero w drugiej połowie 1948 r. zaczęły właściwie stawić pierwsze kroki w dziedzinie planowania.

Charakterystyczne jest dla tych dziedzin opóźnionych w planowaniu, że plany w nich sporządzało się dotychczas odgórnie, bez wciągania do pracy nad ułożeniem planu jednostek terenowych, które ten plan będą wykonywać. Plany tak układane odznaczały się będą zawsze niewielką realnością i nie będą mobilizować mas pracujących do większych wysiłków, a przez to wyraźnie opóźniają tempo rozwoju całego naszego gospodarstwa narodowego.

W rozważaniach obecnych zajmujemy się jedynie planowaniem na odcinku rolnictwa i spróbujemy odpowiedzieć na pytanie, czy możliwe jest na obecnym etapie dalsze jego usprawnienie i pogłębienie.

Zanim znajdziemy odpowiedź na te pytania, dobrze będzie wyjaśnić zasadniczą różnicę, jaka występuje w planowaniu na odcinku rolnictwa a w planowaniu na odcinku przemysłu w Polsce.

### 1. RÓŻNICE W PLANOWANIU PRZEMYSŁOWYM I ROLNICZYM

Do najbardziej szkodliwych przesądów należy przekonanie, że rolnictwo jest o wiele bardziej zależne od sił przyrody, niż przemysł czy np. komunikacja.

Doświadczenia wielu państw, a zwłaszcza Związku Radzieckiego świadczą wymownie i całkowicie przekonująco o tym, że rolnik pracujący zespołowo, uzbrojony w nowoczesną technikę, stosującą zdobycze nauki panuje nad siłami przyrody, przestaje być ich niewolnikiem i potrafi wydrzeć przyrodzie, to czego mu potrzeba. Z naszych doświadczeń dość przytoczyć dodatnie wyniki planowania na odcinku leśnictwa, które również podobnie jak rolnictwo jest współpracą człowieka z siłami przyrody, a wyniki swej pracy posiada nie o wiele gorsze niż np. przemysł.

Trzeba, aby postawa całej naszej młodzieży wiejskiej stała się postawą czynną i zdobywcą wobec przyrody, bez tego wprowadzenie postępu do naszego rolnictwa będzie niemożliwe.

Istniejąca jeszcze dziś w Polsce różnica w planowaniu rolniczym a przemysłowym polega na czymś zupełnie innym.

Oto w wielkim i średnim przemyśle środki produkcji są uspołecznione i znajdują się w swobodnej dyspozycji mas pracujących, natomiast w rolnictwie (oprócz ok 12% ziemi, która stanowi państwowe gospodarstwa rolne) przeważa dzisiaj gospodarka drobnop

towarowa (mało i średniorolne gospodarstwa chłopskie), a poza nią dużą jeszcze rolę odgrywają w produkcji większe gospodarstwa rolne, posiłkujące się stale siłą najemną, a więc gospodarstwa o typie wyraźnie kapitalistycznym.

W państwowych gospodarstwach rolnych (PGR) można planować bezpośrednio tak jak w przemyśle, komunikacji, czy leśnictwie. Natomiast odnośnie gospodarstw chłopskich, ze względu na ich prywatno-własnościowy charakter, dysponujemy małą liczbą elementów planowania bezpośredniego różnej zresztą jakości (do nich należą np. kontrakty wszelkiego rodzaju) i z konieczności ograniczać się musimy do przewidywania wyników produkcji rolnej i pośredniego wpływu na jej rozwój przez politykę cen, podatków, ubezpieczenia, kredyty, właściwą politykę zaopatrzenia wsi w środki produkcji, należąca organizację skupu rolnego itp. zabiegów.

Te dysproporcje w planowaniu na odcinku rolnictwa w porównaniu z innymi uspołecznionymi dziedzinami życia gospodarczego zanikać będą w miarę rozwoju spółdzielczych, zespołowych form gospodarowania na roli.

W uspołecznionym bowiem rolnictwie rozszerzają się możliwości najbardziej skutecznego planowania bezpośredniego.

Taka perspektywa nie może nas zwolnić, rzecz jasna, od wysiłku w kierunku wzmocnienia bezpośredniego i pośredniego planowania w rolnictwie jeszcze na obecnym etapie, tym bardziej, że rozwój planowania w rolnictwie przyspieszy uspołecznienie rolnictwa.

### 2. W JAKIM KIERUNKU ZMIERZAĆ?

Te wysiłki winny zmierzać w następujących kierunkach:

Trzeba stale i systematycznie umacniać rolę, kierowniczą rolę Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych, jako organu władzy ludowej powołanego do kierowania całością produkcji rolnej.

Obecnie Ministerstwo Rolnictwa tego wpływu jeszcze nie posiada. Poza nim w innych Ministerstwach i Centralach Spółdzielczych zapadają decyzje co do roślin przemysłowych, mleczarstwa, hodowli zwierząt, rozdziału nawozów sztucznych, kredytowania rolnictwa itp.

Ministerstwo to nie posiada również jeszcze dostatecznego i sprawnego aparatu terenowego: agronomów i instruktorów, od gromady wiejskiej poczynając, który by stale pomagał mało i średniorolnym chłopom w układaniu ich planów produkcyjnych zgodnych z ogólnym planem państwowym, oraz usuwał bieżąco wszelkie przeszkody, na jakie wykonanie tych planów natrafia niejednokrotnie w terenie.

Recz jasna i również jak poprzednie nie ulegająca już dziś żadnej wątpliwości, że Mi-

nisterstwo Rolnictwa w swej obecnej strukturze organizacyjnej, w strukturze tradycyjnej odpowiadającej czasom Ministerstwa Dóbr Koronnych, a nie czasom gospodarki planowej, bez Departamentu Planowania, bez Departamentu Finansowego (a nie tylko Budżetowego), bez wyraźnie określonych zadań dla Departamentu Ekonomicznego, który winien stale i bieżąco śledzić koszty produkcji rolnej i wpływać na ich obniżenie, bez Departamentu Inwestycyjnego itd. tej roli kierowniczej w stosunku do całości produkcji rolnej odegrać nie może. Ta sprawa wymaga więc również zmian u progu Planu 6-letniego.

W ramach Związku Samopomocy Chłopskiej należy rozszerzyć zespołowe i indywidualne współzawodnictwo pracy, specjalnie zwłaszcza nacisk trzeba położyć w walce z wszelkiego rodzaju marnotrawstwem, wydobywając w ten sposób ukryte rezerwy i stale systematycznie obniżać koszty własnej produkcji rolnej.

Wielką rolę w mobilizacji mas pracującego chłopstwa wokół państwowego planu gospodarczego mogą odegrać gromadzkie i gminne chłopskie narady wytwórcze, z udziałem pracobników pracy spośród robotników rolnych, jak i przemysłowych, którzy na tych naradach mogliby udostępnić mało i średniorolnym chłopom cenę do świadczenia przodującej klasy robotniczej i budzić wśród nich potrzebę pracy zespołowej.

Masowy udział chłopów w zobowiązaniach produkcyjnych dla uczczenia Święta 1 Maja i Święta Ludowego świadczy o tym, że sprawa ta zaczyna nurtować i dojrzewać w świadomości pracującego chłopstwa. Trzeba tylko ten spontaniczny budzący się ruch ująć w trwałe formy organizacyjne w ramach Związku Samopomocy Chłopskiej.

Należy specjalną troską i opieką otoczyć na obecnym etapie Państwowe Gospodarstwa Rolne, podnosić stale poziom ich pracy, zapoznawać chłopów z jej wynikami, aby te gospodarstwa mogły się stać jak najszybciej wzorem wyższej, bo zespołowej i planowej gospodarki rolnej, wzorem promieniującym i otaczającym gospodarstwa chłopskie. Trzeba również w większym stopniu niż to dziś czynimy kierować produkcją rolną gospodarstw chłopskich przy pomocy planowo zorganizowanej sieci zarówno zaopatrzenia wsi, jak i skupu rolnego oraz zakładów przemysłu przetwórczego. A przede wszystkim zmierzać do podniesienia towarowości drobnych i średnich gospodarstw chłopskich, popierać przez politykę skupu, zaopatrzenia, przetworstwa ich intensyfikację i specjalizację.\*

\* Ten temat omawiam szczegółowo w nr 3 „Przeglądu Spółdzielczego”, marzec, 1949 w art.: „Handel uspołeczniony czynnikiem postępu”.



Leopold Boroń



Wiktor Szymonek



Wacław Świątkowski

Wiesław Jażdżyński

# ŻYCIORYSY GÓRNIKÓW\*)

Jest dżdżysty dzień marcowy. Rok 1903. „Duże, leniwe i flegmatycznie obracające się wskazówki na zegarze kopalnianym dowlekiły się nareszcie do godz. 5.30 wieczorem, do końca szychy, której zarobek wynosił nie więcej, jak siedemdziesiąt pięć fenigów, 15-letni górnik — Wiktor Szymonek kończy 12-godzinny dzień pracy. Kończąc go również czernej jego bracia Szymonkowie, którzy, podobnie jak Wiktor, pracują ciężko na wyżynach samych siebie i trojga młodszego rodzeństwa Stary Szymonek — także górnik. Od lat nie żyje. Zginął pod ziemią. Nieraz, ki wypadek śmierci w tamtych latach, latach kapitalizmu, panowania obcego, przeważnie niemieckiego kapitału w śląskich kopalniach.

Równocześnie z nimi kończy przeraźliwie długi i męczący dzień pracy Jan Nowak, chłopski syn, który nawet słyszeć nie chciał o dalszym pozostaniu na roli. Nie widział szans. Natomiast spodziewał się, że po odrobieniu dniówki na kopalni znajdzie jeszcze trochę czasu, aby uczyć się i pracować społecznie.

W ciemnych, źle oświetlonych i niedostatecznie wietrzonych sztolniach spotykali się Szymonkowie — górnicy z ojca i dziada z Nowakami — młodymi chłopcami, których los wyrzucił z kurczących się parcel. Nowak — jak sam pisze — nie miał o świecie najmniejszego pojęcia, znał „tylko dwie w świecie szczytne osobistości, to jest: księdza i nauczyciela”. W kopalni poznał nową, przekształcającą życie wartość — pracę górnica.

Nie ma chyba życiorysu, w którym by nie podkreślał każdy pamiętnikarz, przywiązania do zawodu, do pracy górnicej. „Od 6—14 roku uczęszczałem do szkoły na Krawczy — pisze Piotr Szyja — i kupiłem sobie zeszyt i rysowałem w nim kopalnie, szybki, wózki do wydobycia węgla i do spuszczenia węgla i różnego materiału. A matce opowiadałem, że jak mi będzie 16 lat, to sobie poszukam pracy na kopalni, bo mam wielkie zamiłowanie w tym zawodzie... Także mój ojciec pracował na tej kopalni 45 lat”.

„Górnictwo podobało mi się dlatego, że górnik jest pierwszym robotnikiem na świecie. Zeby nie górnik, to by żadna fabryka,

ni żadna kolej nie mogła istnieć” — dopowiada inny pamiętnikarz.

Nie łatwe jednak było życie robotnicze w tamtych latach. Zarówno dla Szymonków przedłużających tradycje rodzinnego zawodu, jak i Nowaków, zakładających dopiero dynastie górnice. Wszyscy zjeżdżali pierwszy raz pod ziemię jako 14—15-letnie dzieci, choć trzeba było mieć lat 16. Za markę, lub rubla przerabiał usłużny organista, czy urzędnik gminy metrykę. Wszyscy kilkanaście, lub nawet kilkadziesiąt razy zmieniali miejsce pracy. Można by powiedzieć, że częstość wydaleń z pracy była tu w stosunku prostym do świadomości społecznej górnika. Im bardziej uświadomiony klasowo górnik, tym częściej słyszał z ust pełnomocnika kapitału: za mądry jesteś — takich nam tu nie trzeba.

Wędrowali zatem od kopalni do kopalni Szymonkowie, wędrował Nowak, Szyja i wszyscy dosłownie autorzy pamiętników. Zmieniali warsztaty pracy, nie zmieniali jednak w olbrzymiej większości — zawodu.

„...ta nędza i psia dola — pisze Wacław Świątkowski — która od dziecka mnie przesładowała, nie jest wyłącznie moim udziałem... takich jak ja znajduje się setki i tysiące”.

W atmosferze ciężkiej pracy, wyczerpienia i niedostatku, w atmosferze nieustannego poszukiwania pracy rosło nie tylko braterstwo górnice, rosła także świadomość klasowa.

Pierwsza wojna światowa. W luksusowej willi schodzą się nadsztygar, inspektor górniczy — obaj Niemcy, szttygarzy objazdowi, wierni słudzy kapitału, nie brak też niemieckiego pastora i polskiego proboszcza. I kiedy w przykopalnianych obozach giną setkami z głodu jeńcy rosyjscy, jugosłowiańscy i włoscy, wśród toastów pijani duchowni wraz z resztą śpiewają: „In der Heimat da gibst's ein Widersehn”. Dla proboszcza i sforry występujących się kapitałowi szttygarów ojczyzna jest tam, gdzie jest kapitał.

Scenę tę obserwuje Wiktor Szymonek i towarzysze. To właśnie wtedy powiada Szymonek: „Dopóki ustroj kapitalistyczny nie zostanie zniesiony, to robotnik zawsze będzie ofiarą wyzysku, niewolniczą masą murzynów, oraz... dynamiczną siłą dla tych, którzy trzymają te masy w szponach”.

Równocześnie żony robotników dostarczają jeńcom chleb, nie mają go przecież za dużo. Kiedy niebawem wybuchnie strajk, te same kobiety wzywać będą wahających się do solidarności, same będą wymierzać sprawiedliwość łamistrajkom.

Szymonek jest patriotą. Pragnie politycznej niepodległości narodu, ale równocześnie aż nadto dobrze rozumie, że walki o niepodległość nie można oddzielić od walki o sprawiedliwość społeczną, o zniszczenie kapitalizmu. Taka postawa przewija się poprzez wszystkie życiorysy. Niemal każdy z autorów brał udział w powstaniach śląskich, ale równocześnie każdy z nich rozumie, że walki z kapitalizmem. Paweł Gajowski opowiada o górnikach i innych robotnikach śląskich, którzy nie tylko walczyli z wojskiem niemieckim, ale równocześnie prowadzili ostrą walkę polityczną z fabrykantem Fitznerem i jego poplecznikiem — księdzem Świdrem. Dla proletariatu już u początków Polski przedwojennej jasne było, iż nie ma wolności narodowej bez wolności społecznej, że walka z Niemcami to równocześnie walka z kapitałem.

Doświadczenia okresu II Rzeczypospolitej prawdę tę całkowicie potwierdziły.

Jest rok 1933. Polska niepodległa. Górnik Leopold Boroń już od kilku lat nie ma pracy. Uznaną za komunistę nie przyjmowany do żadnej pracy pisze rozpaczliwe prośby na wszystkie strony. Nawet do Prezydenta Rzeczypospolitej, powołując się na fakt, że był członkiem POW, brał udział w powstaniach śląskich i plebiscycie. Wszystko darremne. W międzywojennej Polsce nie było pracy szczególnie dla tych, którzy ideą narodu raz na zawsze związali z ideą sprawiedliwości społecznej, z ideą walki z kapitalizmem.

„Był okres nieprzerwanych redukcji, turnusów i zamykania kopalń, jak również i obniżek płac — pisze Stanisław Świątkowski — ...Wtedy klasa robotnicza w Polsce naprawdę do jakiejś poważniejszej walki nie była zdolna, dzięki rozbiciu na dziesiątki najrozmaitszych organizacji zawodowych, przeważnie burżuazyjnych... Cała walka — jeżeli to walką nazwać można — ograniczała się do obrony przed redukcją jak największej liczby swoich własnych członków kosztem Związków innej organizacji zawodowej. Przy tym wszystkim ofiarami stawali się przede wszystkim robotnicy najbardziej klasowo uświadomieni, jako najbardziej niewygodni...”

Właśnie dlatego Boroń Leopold skazywany został na długoletnią tułaczkę od kopalni do kopalni, mimo, że przecież Polska była „niepodległa”. W rzeczywistości dysponował nią jeszcze silny kapitał, ten sam w roku 1933 co i w r. 1903. Z tego powodu niewiele się

zmieniło w położeniu klasy robotniczej. Ta sama nędza, ta sama „psia dola”.

Boroń musi opuścić „wolną” ojczyznę. Zrezygnuje z Boroń, jak cały proletariat — nie posiadał, bo nie zdobył jeszcze w tamtych latach, ojczyzny. Pracował w Belgii.

„Gorąc na poziomie 1000 m, kurz zatyka krtani, parę razy wymiotuje, ręce mdleją, ogarnia słabość. To są skutki bezrobocia w Polsce. Smaruję kolana brenspyrtysem, przeklinam na wszystkie świętości ustroj faszystowski w Polsce. Przeklinam faszyzm polski!” Słowa te wypowie Boroń jeszcze niejedną raz. Wtedy gdy kawał węgla rozpruje mu brzuch i wtedy gdy pozbawiony opieki lekarskiej, cierpiący na reumatyzm, będzie rąbał węgiel kłęcząc lub nawet leżąc. Uświadomił sobie wówczas coś więcej — mianowicie, że kapitalizm w swej istocie nie jest ani polski ani belgijski. Jest kosmopolityczny. Dosięga wszędzie, gdzie jest, pracującego człowieka. Wszędzie też przez pracującego człowieka solidarnie powinien być zwalczany.

Człowiek jest fragmentem historii. Nie można go poza nią ani zrozumieć, ani wyjaśnić. Życiorysy górników, życiorysy wyrąbane kilofem nie przedstawiają dziejów wyizolowanych z historii indywidualu. Kilkaset stron, napisanych nieraz niewprawną w trzymaniu pióra ręką — to niemały fragment historii polskiej klasy robotniczej. Świadectwo kształtowania się jej postaw wobec wolności politycznej i społecznej narodu i świata.

Jan Nowak — chłopski syn ma już za sobą 44 lata pracy w górnictwie. Chciałby osiągnąć 50 lat pracy. Dziś jest szttygarem członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, ma za sobą trudny okres walki z rodzimym i międzynarodowym kapitałem. Wszedł z proletaryzującej się wsi w klasę robotniczą, tak jak nieco później wszedł w nią Pstrowski i Apryas, tak jak wchodzi w nią dziś dziesiątki tysięcy młodych chłopów. Dzięki Szymonkom, Boroniom, Świątkowskim, Szyjom, Gajowskim i tylu innym, przestał oddzielać wolność polityczną narodu od wolności społecznej, to jest wolność od socjalizmu.

A wolność prawdziwą, którą realizuje klasa robotnicza, to nie jest tylko jej sprawa. I nawet nie tylko chłopstwa. Jest to sprawa wszystkich ludzi pracy. Dlatego każdemu człowiekowi pracy należałoby polecić do czytania owe życiorysy kilofem wyrąbane.

Józef Pogan

## „Krytyka miłująca... wrogów?”

Lichniak omówił w paru kolejnych numerach „Dziś i Jutro”, twórczość literacką pisarzy: Juliana Gałaję — „Mystkowie wioska mała”; Stanisława Piętaka — „Młodość Jasia Kuna-fala”; „Nagi grom”; „Białowiejskie noce”; „Ucieczka z miejsc ukochanych”; Władysława Dunarowskiego — „Leżąc krzyżem”; „Ludzie spod miedzy; oraz moje „Ugory” i „Cierpki owoc”.

Zasadniczo nie lubię odpowiadać krytykom i tym razem również pragnę powstrzymać się od tego. Poczucie prawdy zmusza mnie jednak do zabrania głosu. I bynajmniej nie we własnej obronie — pomijam wszystkie wywody Lichniaka na temat mych literackich niedociągnięć, pragnę tylko wyjaśnić sens jego pomyłek, dotyczących spraw społecznych. Bo być może nie pomyłki, a wcale rozmyślnie „mydlenie oczu” czytelnikom „Dziś i Jutro”. Tak więc czy owak — wymaga go wyjaśnienia. Z Lichniak w swych docekanianach nad mymi „Ugorami” nazywa trywialne przysłówki dziewcząt na weselu „przejaskrawieniem prawdy o wsi polskiej”; zaś zastrzeżenie lewicowca Bąbasa i zabójstwo dwu chłopaków — jakimiś „bezwzględny” „przez mnie enuncjacjami” (ogłoszeniami, doniesieniami?)

Że Lichniak nie zna życia przedwojennej wsi polskiej — temu się nie dziwię. Dziwie się natomiast, że zabiera głos o nieznanych sobie sprawach, próbując zatuszować publicznie prawdę społeczną. Owszem, dla czytelników katolickich „Dziś i Jutra”, docuczanych przez „Tygodnik Powszechny”, tak Lichniakowi robić wypada. Tylko jak można w takim razie uwierzyć w panegiryki o Lichniaku w „Dziś i Jutra”, gloryfikujące jego obiektywizm krytyczny i zapewniające czytelników o jego „sensus catholicus” i „miłującej krytyce”? Nie można w to uwierzyć i — trzeba nazwać Lichniaka oportunistą ulegającym polityce katolickiej opozycji. A że tak jest, przekonamy się na podstawie poniższych wyjaśnień.

Trywialne przysłówki dziewcząt na weselu nie są bynajmniej „przejaskrawieniem prawdy o wsi” — jak podaje Lichniak — a raczej niedomówieniem przez mnie tej prawdy. Np. Honorka Kanarkowa (podaje autentyczne nazwisko) w czasie śnieżycy zimowej narzekała przez jakiś czas: „Zasypało drogę do wsi, a ja sie mom iść tam swarzyć” (kłócić). Oczywiście tak i inne swarzą się często. Kłóca się np. zażarcie dwie kobiety. Wokoło pełno ciekawych ludzi: starych,

młodych i dzieci. Jedna z kłócących się trzyma za rękę dziesięcioletnią córkę, wskazuje na swe przyrodzenie: ! woła na tamtą: „Tu! tu! tu! k... twój k... wciąż ci cudzi..!”

Takie kłótnie zdarzały się po wsiach stale. Wstrzymuję się jednak od ich opisów, wyznaczając sobie w tym wypadku pewną granicę.

Także zabójstwo lewicowca Bąbasa i dwóch chłopaków było faktem i to nie wyjątkowym. Np. w innej wiosce, w rodzinie Polaków, na tle nierówności podziału majątkowego, troje ludzi zarabano w nocy siekierą. I tak co pewien czas i co wieś — to samo.

Czy takie wypadki oskarżają wieś? — I tak i nie. Człowiek przecież tak samo jak i roślina: jakie ma warunki rozwoju — tak się rozwija i wyrasta. „Karłowatości” psychicznej (czy tylko psychicznej?) pomagała się utrwalile modlitwa i nawoływanie z amboną o „chrześcijańskiej miłości bliźniego”, skoro uznawała i utwierdzała nędzę wsi, ciemnotę i uczyła relatywizmu moralnego przez częste postępkę księży przeciwie głośnym cnotom. Np. zabitego lewicowca Bąbasa ksiądz nie pozwolił pochować na cmentarzu i o pomoc zwrócił się do policji. Ale gdyby zmarł zabójca, wtedy ksiądz (oczywiście za pieniądze) zaopiekowałby się jego zwłokami i duszą. To są znane każdemu prawdy. I to jest wielka przyczyna, że nawoływanie z ambony do „chrześcijańskiej miłości bliźniego” niewiele lub zgoła nie pomaga. Ale o tym Lichniak nic nie wspomniął, jakkolwiek go to przy omawianiu „Ugorów” obowiązywało. Choćby dlatego, że pokazując ten sam „medal” z jednej strony, należało go też i odwrócić.

Pod koniec wywodów nad „Ugorami” Lichniak domyśla się: „Obiektywna relacja Pogana miała, jak należy się domyśleć — jeden cel: oskarżenie systemu społecznego, który stworzył sytuację czyniącą z chłopów narzędzie najniższych instynktów i najprymitywniejszych popędów. Opis miał być jednocześnie protestem, wyzwaniem rzuconym w twarz twórcom ustroju, czyniącego z chłopów bandę łobuzów, karierowiczów i morderców”. — I zaraz kontruje:

„Niestety, taka interpretacja opisu Pogana jest pozostawiona domyślności pełnego dobrej woli czytelnika. Sama powieść, zespół przedstawionych w niej faktów i wydarzeń nie stwarza dostatecznych przesłanek do obiektywnej argumentacji, która by przekonała nas o słuszności naszych domysłów. Bo przecież i założenie studni i możliwości założenia

szkoły i wreszcie częściowe uwzględnienie pretensji chłopskich przez władze gminne przedstawiają system w niedostatecznym barwach, aby usprawiedliwić ponurość Pogonowego opisu. Obrazki ściągania podatków, może i przekonywujące, nie ratują sytuacji. Pogan zbyt powierzchownie obnaża społeczno-polityczne korzenie przedstawionych zjawisk, podkopując przez to wiarę w ich prawdziwość historyczną i w ich logiczne prawdopodobieństwo”.

Rozpatrmy rzeczowo te trzy poruszone przez Lichniaka sprawy i niechaj jeden z nas w obliczu prawdy skapitułuje przed społeczeństwem.

Dziwnie doprawdy, że Lichniak takim drobiazgiem jak wybudowanie we wsi studni próbuje nieco wybielić kapitalistyczny ustroj społeczny. Lichniak opiera się na tym, że niby „władze przynaglały do budowy studni, a wieśniacy wzbraniłi się od tego”! Ale trzeba rozumując — to bynajmniej taki drobiazgi nie usprawiedliwia w niczym zło ustroju. Może go nawet jeszcze silniej obciąża, ukazując, jak wychowywał chłopów w nieświadomości i nędzy... że każda złotówka opłaty na budowę studni przerażała większość wieśniaków... Cokolwiek uświadomieni i mający jako tako znośne warunki życia — wieśniacy i bez ingerencji władzy wybudowali studnię. Tej prawdzie tylko laik i dyktant spraw społecznych może zaprzeczyć. Zaprzecza też i Lichniak, bo ma w tym ukryty cel: fałszowanie prawdy.

To jedna „strona medalu”. Druga — że wybudowanie studni nie leżało tylko w samym interesie wiejskiej ludności. Woda potrzebna była również i władzom (np. dla gaszenia pożaru, dla przejeżdżającego wojska, dla przechodniów, letników itd.). Gdybyśmy opierali się na takich motywach jak Lichniak, musielibyśmy nazwać zelektryfikowanie jakiejś miejscowości przez Niemców w czasie okupacji (a były takie wypadki) troską o ekonomiczny rozwój Polski! Albo nawodnienie pustynnych piasków w Afryce troską Anglików o dobro niewolniczych Murzynów! E, panie Lichniaku! nabierz no pan jakiegoś rozsądku!

Dalej powiada Lichniak, że „była we wsi możliwość założenia szkoły”. Nie chce się spierać z nim o to, czy me opisy w „Ugorach” potwierdzają tę możliwość, czy też nie. Chodzi mi tylko o sprawę zasadniczą: czy ekonomiczna możliwość już całkowicie rozwiązuje sprawę, gdy brak właściwej klasowo inicjatywy i postępowego zrozumienia, a zatem i faktu realizacji? „Możliwość wybudowania

szkoły” przekształciła się właśnie pod patronatem księdza i jego sługusów w możliwość wybudowania kaplicy. I w tym właśnie od-czytuje się ustroj, a nie tylko w samych warunkach ekonomicznych możliwości. Cóż z tego, że choćby wieś miała nawet możliwości dorobkowe, gdy zamiast je wykorzystywać ku postępowi społecznemu — wykorzystuje je dla uciemięczenia? Stoi kaplica, ksiądz mówi w niej o „psim obowiązku składania ofiar na kościół” (sic), zbiera datki „na potajemny cel”, (sic) a budowę szkoły paraliżuje się z roku na rok. Wynajęta w zwykłej chacie — „drażem nadal podparta, a na widowni stukilogramowy ksiądz” — jak pisała mi jedna z nauczycielek. Oczywiście, gdyby nie budowa kaplicy — może wybudowano by szkołę. No, ale takie „gdybanie” niczego nie dowodzi. Bo gdyby wieś nie była ciemna i biedna... gdyby władze zechciały... gdyby ksiądz nie przeciwdziałał... Znaczący „gdyby nie zły ustroj”. Po cóż go więc próbować wybielać?!

Także według Lichniaka „częściowe uwzględnienie pretensji chłopskich przez władze gminne nie przedstawiają systemu w należyte ciemnych barwach”. „Miłująca krytyce” wykrętnego Lichniaka. Jego „sensus catholicus” wtedy dopiero kazaby ujawnić przedstawiony system w „ciemnych barwach”, gdyby np. wójt w każdej wsi wystawił szubienicę na chłopów, a ksiądz odmawiał skazańcom „ostatniej pociechy”, tak jak odmówił chrześcijańskiego pogrzebu zabitemu lewicowcowi, Bąbasowi. Śmiech zbiera na takie naiwne wywody Lichniaka, bo przecież nawet „nie miłująca” krytyka, bez owego „sensus catholicus” wie dobrze, że urząd gminny był od tego, aby coś robił i choć na odczepne coś „nieokrzesanym chamom” uwzględnił. Przecież sama taktyka rządzenia nakazywała przyglądać władzom pogardę do chłopów, odgórne zarządzenia wołały perfidnie: „Frontem do wsi!!!”

Reasumując, ja według Lichniaka, „powierzchnym obnażaniem” społeczno-politycznych korzeni przedstawionych zjawisk podkopuję wiarę w ich prawdę historyczną. To właśnie Lichniak swą interpretacją próbuje podkopywać prawdę o przedwojennym ucisku wsi. Wiadomo, dlaczego robi ten wykrętny manewr: nie chcąc uderzać w dzisiejszy ustroj — uderza w prawdę dawnego ustroju, chcąc go cośkolwiek wybielić. Próba ta uwydatnia się poprzez wszystkie wyż. wym. artykuły krytyczne. Tę jego postawę ideologiczną można określić krótko: „miłująca krytyka” musi robić na złość obecnej rzeczywistości. Ale ten — „sensus catholicus” antymarksizm est.

Marian Nowakowski

## Jeszcze o wyższych studiach korespondencyjnych

**D**otychczas sprawą wyższych studiów korespondencyjnych zajmuje się tylko „Wies”. Wydaje się, że te zagadnienia są tak powszechnie ważne, iż wiele innych czasopism, a głównie te, co obsługują najdalsze zakamarki terenu, winny się nimi zająć. Tego nie widać, więc tym większa zasługa, moim zdaniem, „Wsi”. Bo sprawa jest naprawdę ważna i pilna. Przecież nas jeszcze nie stać na luksus i nie będzie nas jeszcze długo stać na to. Ludzie, zwłaszcza młodzi i już do pracy zawodowej przygotowani — powinni pracować. Ale nie wolno im za ich pracę odmawiać prawa do studiów. To chyba ważniejsi będą „studenci”, bo swą pracą zawodową przy równoczesnym uczeniu się spłacą obficie „należność” wobec Państwa Ludowego i społeczeństwa demokratycznego dług za umożliwienie im dalszego uczenia się.

Ob. Krupa w 26 nr. „Wsi” podkreśla znaczenie tego sposobu studiowania ze stanowiska terenowca, oderwanego dziesiątkami kilometrów od ośrodków, posiadających wyższe uczelnie. Wywody jego są słuszne i całkowicie uzasadnione, a myślę, że tysiące jego podobnych podpisze się pod jego artykułem bez zastrzeżeń. Lecz sprawa ta ma szerszy zasięg, dlatego nie można jej brać jednostronnie. Dotyczy ona nie tylko tych ludzi, którzy poszli do pracy na tereny wiejskie, czy małopięczone, ale dotyczy nawet i tych, którzy tuż pod bokiem wyższych uczelni muszą pełnić funkcje zawodowe czy społeczne i nie są w stanie korzystać normalnie z całego systemu studiów wyższych.

Jako pracownik administracyjny jednej z wyższych uczelni widzę oto takie rzeczy:

Zdobycze naszego Państwa Ludowego na polu oświaty są olbrzymie — udogodnienia takie, o których poprzednio nikomu się nawet nie śniło. System stypendialny rozwija się coraz lepiej i obejmuje swym zasięgiem coraz liczniejsze szeregi studiującej młodzieży. Ale przy tym, wszystkim jest dużo i jakże bardzo dużo takich, którzy jeszcze muszą chwycić się różnych prac zarobkowych, aby przebrnąć lata studiów. Zresztą te ich prace są również nader pożyteczne dla społeczeństwa. Tylko że prace te są uregulowane pewnym porządkiem, zwłaszcza prace biurowe, i trudno żądać, ażeby uczelnie wyższe stosowały swoje urządzenia do potrzeb prac biurowych. Dlatego wielu pracujących zawodowo i zarazem studiujących w miastach, gdzie są wyższe uczelnie, prócz umiędzenia niewiele ze studiów mogą wynieść.

Bo pomyślcie:

Pracuje ktoś w jakimś biurze od 8 do 15. I tylko kupki w stołówce, pędzi na wykłady czy inne zajęcia, gdzie ślęczy do godz. 20 czy nawet 22. Co on z tego ma? Co ma z tak wymiętoszonego człowieka praca zawodowa czy instytucja, w której pracuje i chce pracować? Czyż nie lepiej byłoby dlań i dla jego pracy zawodowej pójść do godz. 15 do domu, wziąć do ręki dobrze zredagowany skrypt, czy należycie wskazaną literaturę i w spokoju, bez zahukania, popracować nad sobą będąc przekonany, że zawsze ma możliwość zwrócić się do odpowiedniej instytucji, która udzieli mu potrzebnych wyjaśnień i zaopiekuje się każdą jego bledą w czasie studiów? Ja myślę, że lepiej i to lepiej tak dla niego jak i dla jego pracy zawodowej, a więc dla całego społeczeństwa.

Poruszam to jako zagadnienie i to ważne zagadnienie, bo do tej pory w dyskusji nad tymi sprawami zagadnienie to nie było poruszone. Studia korespondencyjne tylko „dla terenu”, a ja myślę, że dla ludzi pracujących i chcących się uczyć bez względu „na teren”.

Zdaje mi się, że tu ani urzędy, ani pojedyncze osoby niewiele pomogą. Tu potrzeba zainteresowania się jakiejś masowej organizacji społecznej, a najbardziej nadającą się na to chyba Związek Młodzieży Polskiej. Przecież prowadzi już od paru lat studia korespondencyjne na poziomie średnim i wiem, że z dobrymi wynikami, więc chyba dalsza rozbudowa nie przedstawiałaby specjalnych trudności. Jest to tym bardziej sprawa Związku Młodzieżowego, że na pewno większość uczestników to będą jego członkowie, a ponadto taka właśnie organizacja może zagwarantować należyty kierunek i poziom ideowy tego rodzaju studiów. W prasie związkowej głucho jednak na ten temat. Przecież istnieje ZAMP, a czyż to nie piękne pole do pracy dla tej organizacji?

Terem czeka, teren pragnie tych studiów, ale przecież ten rozległy teren nie zdoła ich zorganizować i poprowadzić. Czekamy na rzetelną odpowiedź.

## Któż mu uwierzy?

W ostatnim numerze katolickiego miesięcznika „Znak” zamieścił ks. Wincenty Kwiatkowski pokazny artykuł pt. „Experimentum fidei”, którego znaczną część poświęca na wmawianie czytelnikowi, że materializm jest przewyższony i to właśnie na gruncie współczesnej fizyki, gdzie w ogóle należy do archaicznych, zamierzchłych zabytków.

Osobiście pojmuję skutki podobnych sugestii, wiem czemu i komu służą, ale zdumiony jestem, jak to niby można z mechaniki kwantowej wyprowadzić dowód na istnienie Boga. Operacja to raczej szczególna i obliczona przede wszystkim na łatwowierność czytelników. Zastrasza się ich nazwiskami wielkich z pewnością fizyków, niestety usiłujących poza tym uprawiać z gorszym nieco powodzeniem mistykę i jakąś pseudo-ontologię.

„Przeciw materializmowi” — woła ks. Kwiatkowski — „wystąpił” wraz z Planckiem słynny astronom z Cambridge, Artur Stanley Eddington i w odczyty wygłoszonym w roku 1929 pt. „Die Naturwissenschaft und die Welt des Unsichtbaren” występuje w obronie religijno-idealnego ujęcia rzeczywistości — kosmosu. A znówu Jeans, profesor uniwersytetu w Cambridge pisze, że obecnie fizycy są zgodni w tym, iż wszechświat przedstawia się raczej jako wielki umysł, niż jako maszyna i że duch w obrębie materii nie jest żadnym przypadkowym wtrętem, lecz przeżywamy, że należy powitać go jako twórcę matematyki”. Mimowoli przypominają się słowa Chwistka z „Granic nauki”: „kiedy komediopisarz Bruno Winawer szydził z filozofów przeciwstawiając im przedstawicieli nauk ścisłych, jako twórców nowych form życia na ziemi, to nie liczył się z tym faktem, że właśnie ci wielcy uczeni korzą się przed filozofami i pragną za wszelką cenę pozować na mędrców odkrywających kamień filozoficzny. Tak było, dopóki nie przeczytał popularnych wykładów twórcy teorii falowej, Schrödingera. Przeczytał je i ulak się morza, nieodpowiedzialnych frazesów i tępych alegorii, zestawiających współczesną fizykę z tzw. nową rzeczywistością w sztuce, a elektrony z poszczególnymi jednostkami ludzkimi”.

A te właśnie „nieodpowiedzialne frazesy i tępą alegorie” propaguje pod maską nauk przyrodniczych ks. Kwiatkowski. Któż mu uwierzy? **A. M.**

## Też obrona kultury zachodniej

W ostatnich dniach ogłosiła sprawozdanie ze swej działalności wyznaczona przez rząd brytyjski Królewska Komisja do Badania Stanu Zaluźnienia na terenie imperium brytyjskiego. Komisja pracowała długo i żmudnie — i po tych długich i żmudnych pracach ogłosiła, że ze względów „strategicznych i politycznych” należy powiększyć liczbę urodzin wśród klas wyższych, natomiast ograniczyć liczbę urodzin w klasie robotniczej. Zalecano przy tym zmniejszenie podatków rodzinnych dla rodzin, posiadających



duże dochody — dlatego przede wszystkim, że wychowanie dzieci w klasach wyższych jest bardzo kosztowne. Czy nie jest to słuszny wniosek? Należy przecież dbać o czystość rasy panów — by ułatwić im „misję” gnębienia klasy robotniczej i narodów kolonialnych.

Przez tę akcję populacyjną — sądzi komisja — dostarczą się Anglii w „odpowiedniej ilości obrońców cywilizacji zachodniej”.

Czy ktoś może wątpić, że raport Królewskiej Komisji ma charakter „demokratyczny” i „socialistyczny”? „Socialistyczny” Bevin na pewno mu przykłaśnie — i uzna go za niezbędny element „paktu atlantyckiego”.

Ale gdyby Goebbels słyszał ten raport, zartarby ręce z radości. **M. N.**

## Czyżby?

Biuletyn ambasady amerykańskiej (Nr 22) z widoczną satysfakcją zamieszcza fragmenty przemówienia p. dr. Ralpa Bunche'a na temat położenia Murzynów w USA.

„Chociaż nic nie jest łatwe dla Murzyna w Ameryce, to jednak nie ma rzeczy dla niego niemożliwych do osiągnięcia. Przegrady, jakie stwarza rasa, są groźne, lecz mogą być przewyżnione. W rzeczywistości cała historia Murzynów w tym kraju daje nam przykłady stałego, nieugiętego postępu w przewyżnianiu tych barier” — oświadczył p. Ralph Bunche.

Czyżby? Cała historia Murzynów pokazuje zupełnie co innego. Wszystko jest możliwe? To w takim razie dlaczego tak się dzieje, że w Stanach Zjednoczonych na każdy 1000 mieszkańców przypada 100 Murzynów, a na każdy 1000 wyborców tylko 8 Murzynów?

Jeżeli wspomniany Biuletyn pragnie rzeczywiście informować polskiego czytelnika o sytuacji Murzynów, powinien powoływać się na bardziej autorytatywne wypowiedzi. Np. prezydenta Trumana, który dosłownie powiedział: „Godność Murzynów wciąż jeszcze szargają, obrażając ich obelgami, poniżają ją strachem i terrorem. Żyją oni — muszą to niestety przyznać — pod groźbą linczu i gwałtu ze strony motłochu”.

Albo jeszcze lepiej byłoby zapoznać naszego czytelnika z książką senatora Bilbo zatytułowaną wymownie: „Wybierajcie między rozdzielaniem lub zmieszaniem się ras”, w której ów senator pisze: „Stare, aryjskie cywilizacje Egiptu, Indii, Fenicji, Grecji i Rzymu zginęły, bo rasa rządząca zmieszała się z niepełnocennymi rasami. Trzeba wyrzucić wszystkich kolorowych ludzi z USA, bo inaczej Stany Zjednoczone zginą...” No bo „Mein Kampf” cytować — to mimo wszystko nie wypada. **J. S.**

## Podwójny doktor honoris causae

Angielski świat naukowy liściem swojego szacunku przyzobdobił ostatnio głowę... Churchill. Oczywiście nie bez racji, uniwersytet w Liverpoolu nadał Churchillowi tytuł doktora honoris causae. Zasługi jego są tu nie małe. Chyż swąja praktyczną działalnością



polityczną, w której z niesłychaną konsekwencją manifestowała się zawsze jego wroga postawa wobec sił postępu i sprawiedliwości społecznej — nie stanowiąc niejednokrotnie ożywczych źródeł dla teoretycznej myśli burżuazyjnych naukowców? Wyrazy uznania od tej strony są zupełnie na miejscu. Lud jednak też pamiętał o uczczeniu „opatrznosciowego męża”. Dali temu wyraz mieszkańcy Liverpoolu zebrani na wiecu w dniu wręczenia przez władze uniwersyteckie doktorantowi honorowego dyplomu. Na wiecu tym robotnicy uchwalili obdarzyć Churchilla tytułem od siebie. Odnośna formuła listu brzmiała: „My, prawdziwi przedstawiciele miłującego pokój narodu, nadajemy panu tytuł doktora wojen, magistra ucisku i członka towarzysstwa naukowego reakcji światowej” (podkreślenie nasze). **M. K.**

## O bezrobotnych i dobrym wychowaniu

Mija już piąty miesiąc od czasu, jak rozpoczął swe prace 81-szy z kolei Kongres Stanów Zjednoczonych. Jakimi osiągnięciami może się Kongres pochwalić?

Czy dusząca ruch robotniczy ustawa Tafta-Hartleya została zniesiona? — Nie. Ciężary podatkowe zmniejszone? — Nie. Wydatki wojenne uszczuplone? Także nie. Więc może że „rudniono bezrobotnych? Skądże! Liczba ich wzrosła i dosięga obecnie 4 miliony.

Więc co właściwie Kongres zdziałał? A zdziałał, i to nawet bardzo dużo. Zatwierdził mianowicie wydatki na organizację ślepi śpiegowskiej w krajach demokracji ludowej i Związku Radzieckim. Zatwierdził także sposoby wywołania zwyżki ceny dolara, przy równoczesnej dewaluacji funta angielskiego i franka.

Czy to wszystko? Jest jeszcze jeden bardzo ważny dekret kongresowy, a właściwie kodeks dobrego wychowania, skierowany pod adresem 89 nowych kongresmanów, którzy okazali bardzo kiepskie manery.

„Nie pal pod pulpitem, nie trzymaj w zębach zgaszonego papierosa, fajki lub cygara. Nie kładź nóg na oparciu fotela, nie spaceruj pod nosem przemawiającego kolegi. Nie czytaj gazet podczas posiedzenia. Nie wywołuj głośno posłów po imieniu!” — oto tekst kodeksu, nad którym radził 81 Kongres Stanów Zjednoczonych.

I chociaż na posiedzeniu poświęconym sprawom dobrego wychowania było tylko 40 spośród 435 kongresmanów, to jednak uważa się je za jedno z najbardziej owocnych. **P. P.**

## Związek Katolickich przedsiębiorców

W 25 numerze „Tygodnika Powszechnego” w dziale „Kroniki religijnej” czytamy: „Związek Katolickich Przedsiębiorców”. — W encyklice „Quadranno” zrobił Pius XI ka-

tolickim przemysłowcom zarzut, że się nie mogą zdobyć na utworzenie własnego związku, gdy katolicy robotnicy w wielu krajach rozwinęli szeroko swoje własne organizacje. W tym czasie istotnie były związki katolickich przedsiębiorców tylko — zdaje się — w Holandii i we Francji. Po ostatniej wojnie powstały także w Belgii, a ostatnio w zachodnich Niemczech pod wpływem arcybiskupa Kolonii, kard. Fringsa. Konstytucyjne zebranie Związku (Bund Katholischer Unternehmer) odbyło się w Düsseldorfie. Prezesem został wybrany gen. dyrektor zakładu Glanzstoff-Courdauls, Franciszek Greis. Przyjęto statut, który stwierdza, że Bund nie jest organizacją gospodarczą ani zawodową; „jego celem właściwym jest współpraca nad realizacją ustroju społecznego, według zasad encyklik”. W obronie Bundu (w odpowiedzi na ataki socjalistów — dop. nasz) wystąpił katolicki działacz robotniczy Józef Gockel, który podniósł, że to właśnie katolicy robotnicy przyczynili się do jego powstania, uważając, że współpraca robotników z przemysłowcami przyspieszy realizację ustroju „stanowo-zawodowego”, korporacyjnego, zaleconego przez Piusa XI i Piusa XII”.

Ciekawe, ciekawe... jak żyją i pracują robotnicy włoscy w fabrykach, które w 50 i więcej proc. zależą od przedsiębiorców najbardziej katolickich — bo watykańskich? Dziwna... „Kronika religijna” Tygodnika Powszechnego, właśnie po niedawnym Kongresie Związków Zawodowych...

A może by tak, kronikarzu „Tygodnika”, w następnej „kronice religijnej” poruszyć takie ciekawe „religijne” historie, jak powiązanie kapitału watykańskiego z amerykańskim np?

## Kto rządzi w Grecji?

W Grecji — jak wiadomo — panuje miłośnicy król Paweł spowinowacony z niemiecką dynastią Hohenzollernów. Imię króla Pawła figuruje oficjalnie na szyldzie monarchii greckiej. Ale za królem Pawłem stoi amerykański ambasador Grady. Ambasador amerykański jest oczywiście żonaty. I ożona ambasadora Grady'ego oświadczyła przed niedawnym czasem w wywiadzie udzielonym londyńskiemu „Sunday Dispatch”, że Grecja jest po prostu forpoczta Ameryki, która ma tu wielki wpływ. I jeszcze dodaje, że Grecja powinna i musi się odrodzić w duchu amerykańskim. I tyle.



Kto więc panuje w Grecji „miłośniczynie”? Czy król Paweł? Bardzo wątpliwe. Na pewno zaś panuje ambasador amerykański w imieniu „monarchów” Wall-Street. **R. W.**

## Literaci — piszcie!

Bardzo często w większych kołach ZMP-owskich urząda się przedstawienia teatralne, które właściwie zamiast kształtować świadomość społeczną chłopów powodują co najwyżej trochę pustego śmiechu.

Owsem, ludzie pośmieją się, powiedzą sobie, że niby ten golarz dobrze pędzłem od wapna omascił mydłem twarz klienta, albo, że to śmieszne, iż jakiś tam gość przyjechał w becce, to znów jakaś tam kowalowa oszukała diabła itd.

Tak więc w bardzo wielu wypadkach te... „szmiry” brukowe, nie przedstawiające żadnego waloru kulturalno-oświatowego cieszą się powodzeniem. Cieszą się powodzeniem, ponieważ innego repertuaru brak. Wieś bardzo jeszcze często pozbawiona jest naprawdę utworów scenicznych. Gdy członek koła ZMP pójdzie do księgarni w celu kupienia jakiegoś utworu, okazuje się po prostu, że są tam jakieś bezwartościowe społecznie utwory sceniczne, albo znów takie, że wieś nie może ich grać z powodu braku kostiumów, dla wyfraczonych hrabiów lub bogaczy amerykańskich. Szybcie odpowiednich kostiumów pochłonełoby duże sumy. Jeśli znajdzie młodzież wiejska odpowiednią sztukę, wypożycza ją sobie od koła do koła, co oczywiście wpływa hamująco na pracę amatorskich zespołów teatralnych.

Dla wsi, dla młodzieży wiejskiej zrzeszonej w kołach ZMP trzeba dać repertuar przystępny, nietrudny do wykonania pod względem technicznym, który by w formie artystycznej dał to, co się dzieje w gospodarce. Dlatego pisząc te parę słów, apeluję do pisarzy polskich, żeby pomyśleli o repertuarze wiejskim, Literaci! Piszcie! Aby młodzież wiejska nie wyciągała starych szkodliwych społecznie „szmir”. Słowa te skreślił drobnorolny chłop — na odpowiedź czekają was miliony!

Biecki Jan

wieś Dęba, pta Kurów Lubelski pow. Puławy

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-96

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOSKIEJ.

REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98

Warunki prenumeraty:

miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł.

Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ 911-1080

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, ul. Zwirki 2

D-01757